Nr. L 1937

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

„Bolszewicka Prawda"

DRA JANA BOBRZYŃSKIEGO

Rewelacyjne wydawnictwo dla informacji wszystkich sfer polskiego społeczeństwa.

Groza niebezpieczeństwa bolszewicko-masońsko-żydowskiego po raz pierwszy zdemaskowana w swym całokształcie na podstawie faktów i bezspornych dokumentów.

Pierwsze wydanie w kilku tysiącach egzemplarzy zostało wyczerpane w ciągu paru ostatnich tygodni ubiegłego roku.

Redakcja miesięcznika „Nasza Przyszłość" przystępuje do drugiego wydania w masowym nakładzie dla miast i wsi w najbliższym czasie.

Na pierwszą wiadomość o zamiarze tego drugiego wydania wpłynęły już zamówienia na kilka tysięcy egzemplarzy ze wszystkich stron raju i z różnych sfer, duchownych i świeckich.

Z różnych sfer społeczeństwa nadeszły również — bez względu na różnice przekonań politycznych lub społecznych — wyrazy uznania dla „Bolszewickiej Prawdy" i życzenia, aby została rozpowszechnioną w kilkuset tysiącach egzemplarzy.

Żywioły komunistyczne, radykalne i masońskie wysilają się się już obecnie, aby rozszerzeniu się „Bolszewickiej Prawdy" wszelkimi sposobami i wpływami przeszkodzić.

Niech dobrze myślące społeczeństwo polskie przełamie te intrygi i przez szybkie, masowe zamówienia umożliwi dotarcie broszury do sfer najszerszych.

Cena egzemplarza broszury, zamawianej wprost w Redakcji „Naszej Przyszłości", wyjątkowo niska:

35 groszy za egzemplarz o 85 stronach w dużym formacie z licznemi wtrąceniami czerwonym drukiem.

Wydawnictwo to odsłania w całej pełni zastraszający fakt, jak głęboko wżarła się czerwona zaraza w najgłębsze komórki polskiego organizmu społecznego. Stanowi to jeden z największych walorów broszury, gdyż **tego tematu publicystyka polska nie miała dotąd śmiałości integralnie poruszyć.**

Wobec zalewu Polski przez literaturę i inną propagandę bolszewicką apelujemy do osób i instytucji. myślących prawdziwie patrjotycznie i po katolicku **o niezwłoczne nadesłanie zgłoszeń na możliwie jak największą ilość egzemplarzy „Bolszewickiej Prawdy" i równoczesną wpłatę kwot na rachunek czekowy miesięcznika „Nasza Przyszłość" w P.K.O. w Warszawie Nr. 22.875.**

Redakcja „Naszej Przyszłości"

Nr. L 1937

NASZA

PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33
w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

T R E Ś Ć:

Do Czytelników

PRZEZ sześć i pół lat wychodziła Nasza Przyszłość w dużych tomach, budując stopniowo swe podstawy ideologiczne, formułując zasadnicze, oryginalnie ujęte tezy polskiej racji stanu w różnych dziedzinach i dając podnietę także i do praktycznej akcji obywatelskiej przez konkretyzowanie szeregu zadań publicznych serjami artykułów.

Równolegle więc z tą akcją pisarską rozwijała się także akcja czynna, specjalnego typu, penetrująca w różne sfery społeczeństwa, w doły i w górę. Zrobiła ona już dotąd więcej, niż doraźny czytelnik Naszej Przyszłości przypuszczać może. Tylko że — w przeciwieństwie do różnych innych akcji społecznych i politycznych w kraju — nasza praca, zorganizowana przed dwoma laty wreszcie w zalegalizowany „Związek Polskiej Myśli Państwowej", nie reklamowała się zbyt szeroko, bo nie uważała tego za wskazane i celowe przed odpowiedniem okrzepnięciem swych zasad, metod działania i zadań konkretnych.

Obecnie gmach ten jest już w swych fundamentach i zrębach gotowy, a szereg lat obserwacji i doświadczenia wykazał trwałość tej budowy i słuszność dróg obranych w danych polskich warunkach i stosunkach. Teraz więc czas dopiero wyjść na szeroką arenę.

Stworzyliśmy szkołę. O to przedewszystkiem chodziło. To jest dla akcji naszej solidną rękojmią trwałości — w przeciwieństwie do różnych partji politycznych i wielu innych ruchów społecznych, obli-

czonych na krótką metę, na pewne konjunktury i doraźne, a przez to właśnie przemijające sukcesy.

Sytuacja w kraju dojrzała już do szerszego naszego wystąpienia. Skomplikowała się niezmiernie opinja publiczna, rozproszkowana i przeżarta efemerycznymi porywami, ambicjami i eksperymentami, a zwłaszcza groźnie podminowana wpływami doktryn wywrotowych w najrozmaitszej postaci, zabrnęła zupełnie na manowce i właściwie nikt nie wie, dokąd iść i czego się trzymać. Bezkrytyczna autolikwidacja Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, który — mimo swych licznych niedomagań — tworzył jednak przez szereg lat pewną organizacyjną więź w naszem z natury anarchicznem społeczeństwie, następnie niemniej bezkrytyczne naśladownictwo różnych obcych wzorów społeczno-politycznych, wreszcie olbrzymie podminowanie wszelakich warstw społeczństwa przez bolszewizm, penetrujący już bardzo głęboko i niebezpiecznie w najgłębsze komórki polskiego organizmu państwowego, to wszystko razem sprawiło, że społeczeństwo polskie błąka się w konwulsyjnych, a często najbłędniejszych poszukiwaniach za nową formą, hasłem, ideą. Raz po raz powstają prorocy i kupiąc koło siebie napuszoną frazeologją bezkrytyczne stada „zwolenników", perorują przez pewien czas, a wnet potem zapadają się niechlubnie w bezmyślnym radykaliźmie różnego autoramentu.

A zyskuje na tem tylko bolszewizm, jako jedyna — przyznać trzeba niestety — zwarta, zbrodniczo celowa, z zagranicy potężnie wspierana organizacja w kraju, która dąży do swych celów wywrotowych wszelkiemi drogami z nieubłaganą wytrwałością i konsekwencją, opanowując rozbite nasze społe-

czeństwo coraz potężniej, coraz wszechstronniej splotami polipa.

Naprzeciw tego, już bezpośrednio aktualnego, już rujnującego nas niebezpieczeństwa nie widzimy w Polsce — oprócz doraźnej akcji policyjnej władz rządowych, stanowczo nie wystarczającej — żadnej kontrakcji obywatelskiej, równorzędnej bolszewizmowi organizacją, celowością, zwartością, wszechstronnością i dyscypliną. Przeciwnie — zasadniczo wrogie nastawienie przeróżnych organizacji patrjotycznych wzajemnie między sobą ułatwia niezmiernie ekspansję wszelakich idei wywrotowych tak, że Polacy, chcąc walczyć z niemi, idą w rzeczywistości na ich pasku, zbliżając się za ich bardzo zręcznym wpływem do stanu coraz wyraźniejszej „permanentnej rewolucji".

Ten stan rzeczy wymaga odpowiedniej zmiany taktyki z naszej strony. Co mieliśmy do powiedzenia pewnej elicie społecznej — t. j. tym, którzy mianują się elitą — to powiedzieliśmy już chyba dostatecznie przez sześć i pół lat na łamach czterdziestu dziewięciu, przeważnie bardzo obszernych tomów naszego wydawnictwa. Teraz pójdziemy w tłum, a „elita" niech sama troszczy się o siebie. Powinna mieć dość rozumu, wykształcenia i doświadczenia, aby sobie dać radę.

Jeżeli kapitulować będzie, jak dotąd, krok za krokiem, przed fantomem „bolszewizującego postępu", pogrążając się coraz bardziej w aktualiźmie bieżącej chwili i w krótkoterminowym materjaliźmie, a nie chcąc organizować zawczasu pomyślniejszej przyszłości krajowi i sobie, to niech konsekwencje poniesie!

Dlatego Nasza Przyszłość — równolegle z dalszym rozwojem akcji czynnej Związku Polskiej

Myśli Państwowej — przestaje odtąd wychodzić w grubych tomach, ale wchodzi w masy gradem odrębnych, odpowiednio skonstruowanych broszur różnego typu, wśród których główne wydawnictwo kontynuować się będzie celowo również w mniejszych a częstszych zeszytach o daleko szerszym, niż dotąd, zasięgu.

Nic się przez to w zasadach naszych, ideologji, dążeniach i celach nie zmieni. Wprost przeciwnie — stworzyliśmy twardą opokę, o którą rozbijać się mają wszelki oportunizm, wszelkie z zagranicy importowane nowe „dreszcze", koncepty i eksperymenty, a przedewszystkiem wszelkie ataki zdawkowej prasy i zmiennej zawsze, jak wiatr, opinji publicznej. Niech ludzie prawią, co im ślina na język i co im atrament na pióro przyniesie — my zrobimy swoje. A zrobimy na odpowiednio wysokim poziomie, ale mocnym i bezwzględnym stylem, penetrując bezkompromisowo w głąb każdej sprawy i nie szczędząc nikogo.

Takiej bowiem metody wymagają integralna akcja antybolszewicka oraz niezmiernie przytępione aktualizmem, materjalizmem i ogólnym marazmem nerwy społeczeństwa, których — jak stwierdziliśmy to aż nadto w ciągu szeregu lat — żaden subtelny, wytworny, do serc i umysłów skierowany apel nie jest w stanie poruszyć i to nawet wówczas, gdy dach nad głową płonie!

A jeżeli ktoś innego jest zdania co do istnienia w Polsce jeszcze prawdziwej elity obywatelskiej — ale: prawdziwej — i jeżeli bardziej optymistycznie sprawę tę osądza, to niech nie wysila się na frazesy protestu i oburzenia, bo słowo dzisiaj, to dym, ale niech przekona nas czynem. Niech ruszy się, oderwie od swych ustawicznych wysiłków materjalistycz-

nych, od swego beznadziejnego „tańca koło złotego cielca“, a poprze w sposób zdecydowany naszą akcję. Jesteśmy pewni, że kto naprawdę zechce, ten i może. Bo cudów nie żądamy.

Dla porządku dodajemy, że na tej zmianie naszej taktyki nikt z czytelników naszych i prenumeratorów nie straci. Nie żądamy bowiem — naszym zwyczajem — prenumeraty płatnej z góry, ale zawsze wstecz, za już otrzymane zeszyty wydawnictwa. Kosztowna prenumerata 40 zł. rocznie kończy się, a na jej miejsce wejdzie cena poszczególnych szczupłych zeszytów i broszur, wydawanych pod naszą firmą w krótszych odstępach. Łączna cena za to wszystko będzie w każdym razie znacznie niższą od dotychczasowej prenumeraty.

Postępując tak, czynimy zadość nietylko imperatywnym wymaganiom sytuacji w kraju, ale również wielokrotnym żądaniom naszych stałych Czytelników, którzy w ostatnich latach ustawicznie podają nam hasło „wejścia w masy bez uszczerbku idei, metody i programu“.

Uważamy obecny moment za właściwy, aby zrealizować to hasło *).

REDAKCJA.

---

*) *Kilkunastu prenumeratorom, którzy z własnej inicjatywy zapłacili prenumeratę za ostatni kwartał ubiegłego roku, a nawet pewne, przez nas wcale nie wymagane zadatki za rok bieżący, gotowi jesteśmy — stosownie do ich dyspozycji — albo zwrócić nadpłacone kwoty, albo zaliczyć je na dalszy rachunek.*

PROCH I POPIOŁY

Dlaczego nie wierzymy w produktywność stronnictw politycznych?

W swojej enuncjacji p. t. „Z otwartą przyłbicą“, zamieszczonej w poprzednim tomie tego wy= dawnictwa, ogłosił Zarząd „Związku Polskiej My= śli Państwowej“, że nie wierzy w produktywność państwowo = twórczą tej formy publicznej pracy obywatelskiej, która ma nazwę „stronnictwo polity= czne“, gdyż morma ta już się przestarzała, wyjało= wiała i nie jest już w stanie niczego, prawdziwie pro= duktywnego we współczesnem państwie polskiem dokonać. A pochodzi to stąd, że pojęcie partji po= litycznej — w nowożytnem tego słowa znaczeniu — powstało, rozwinęło się, a obecnie chyli się do zmierzchu równolegle z powstaniem, rozwojem i zmierzchem parlamentaryzmu i to parlamentary= zmu w znaczeniu mniejwięcej sejmowładztwa. To sejmowładztwo zaś datuje się na kontynencie Eu= ropy mniejwięcej od czasów rewolucji francuskiej, a obecnie jesteśmy świadkami jego aż nadto wido= cznego wszędzie zmierzchu. Wyłaniają się nato= miast inne, nowe formy publicznej współpracy oby= watelskiej w modernizujących się organizmach pań= stwowych.

Bo też tak jest w istocie. Ewolucja ta idzie dość szybko naprzód, oczywiście nie wszędzie równo= miernie. W niektórych państwach zniknął już zupeł= nie parlamentaryzm w zwykłem tego słowa znacze= niu, w innych utrzymuje się wprawdzie jeszcze, ale znajduje się w stanie widocznego rozkładu, prolon=

gując swe życie już tylko pewną siłą bezwładności. Nie jest już wyrazem prawdziwej woli społeczeństwa, lecz tylko pewnej zręcznej spekulacji, której społeczeństwo jeszcze ulega, ale coraz mniej w gruncie rzeczy traktuje ją na serjo.

Nowoczesne parlamenty na kontynencie europejskim, doniedawna wszechwładne jako wyraz pewnej uświęconej ideologji „demokratycznej", nie są już szczerą emanacją narodów, ale wegetują już tylko obok nich, na jakiejś mniej lub więcej oderwanej od społeczeństwa platformie. Typowy zabytek mijającej epoki, utrzymujący się gdzieniegdzie jeszcze tylko wskutek nie wszędzie jeszcze pokonanego zabobonu „powszechnego głosowania". A wiadomo, jak długo utrzymują się w społeczeństwie zabobony poprzedniej religji po przyjęciu przez nie nowej. Siła zaś takiego zabobonu, przejętego z przeszłości, tkwi w nieokreślonej obawie, że naruszenie jego śmiesznych nieraz pojęć i przepisów wyrządziłoby ludziom szkody.

Tak więc trzyma się jeszcze ludzkość, choć już niewszędzie, starodawnego obrzędu — bo już tylko obrzędu! — powszechnego głosowania, gdyż wbito jej w mózgi przez półtora wieku, że w tem powszechnem głosowaniu i w wyłonionym przez nie parlamencie objawia się wola szerokich mas i ich współudział w rządach państwa. Przekonanie to, podniesione sztucznie na piedestał uświęconego fetysza, prolonguje się siłą inercji i bezkrytyczności opinji publicznej, chociaż nie odpowiada już zupełnie istotnej oczywistości. Powszechne głosowanie zostało bowiem stopniowo tak skarykaturowane, że najczęściej nie odpowiada zupełnie prawdziwej woli i pragnieniom społeczeństwa, a parlamenty stają się coraz bardziej manekinami w rękach rządów, albo też

areną najszkodliwszych dla państwa i społeczeństwa frymarek, spekulacji i kombinacji.

A stronnictwa polityczne, jako nieodłączna funkcja tego strupieszałego już i coraz bardziej zakłamującego się systemu, przechodzą z natury rzeczy analogiczne stadjum zgrzybienia i agonji, płodząc już tylko ujemne rezultaty.

Nie trzeba tego długo i szeroko dowodzić, bo rzecz ta rzuca się w oczy każdemu, kto tylko zdoła otrząsnąć się z narkozy wspomnianego zabobonu i spojrzy trzeźwem okiem na to, co się na arenie publicznej istotnie dzieje.

Taki wyzwolony z przesądu człowiek stwierdzić może przedewszystkiem wielką, już bezsporną prawdę, że

żadne stronnictwo polityczne nie jest w stanie wykonywać swego programu.

Weźmy przykłady. Czy nasze stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, opierające się w zasadzie na szczytnych zasadach encyklik papieskich i na prawdziwej misji ewangelicznej, mającej na celu odpowiednie zastosowanie wysokiego przykazania miłości bliźniego w praktycznej akcji społeczno-politycznej, wykonuje rzeczywiście ten program, sam w sobie wielki i wspaniały? Nic podobnego, a nawet niestety wprost przeciwnie! Idea chrześcijańskiej demokracji wypaczona została bowiem w partji politycznej na najzwyklejszą spekulację o mandaty sejmowe i doraźne zyski osobiste. Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji dąży więc w praktyce tylko do pospolitej władzy, mandatów i posad wszelkiego rodzaju zwykłemi, partyjnemi, a więc bezskrupulatnemi drogami, podeptawszy zupełnie wszel-

kie swe wznioślejsze, programowe cele. Agitatorzy tego stronnictwa, chcąc zwerbować głosy wyborców, muszą w ośrodkach robotniczych przelicytowywać się z socjalistami i komunistami w najradykalniejszych hasłach, odległych o sto mil od wszelkiej ideologji chrześcijańskiej. A gdyby ktoś w tem stronnictwie zaprotestował przeciw temu i starał się nakłonić je do wiernego przestrzegania zasad programowych, byłby odrazu wyśmiany jako niepraktyczny idealista, jako człowiek „nierealnie" myślący, poprostu jako Donkiszot, z którym też niktby się w stronnictwie nie liczył. Bo „realizm" stronnictwa politycznego, to nie jakieś tam ideały, ale „konkretna" walka o mandaty, teki ministerjalne i inne intratne stanowiska. A w dążeniu do tego uświęca cel oczywiście wszelkie środki, nawet licytowanie się z bolszewikami w najskrajnieszych hasłach. Teoretyczny zaś program służy naturalnie tylko do otumanienia mas.

Przejdźmy do socjalistów. To samo zjawisko. Żadnemu socjaliście nie śni się u nas o realizacji na serjo socjalistycznej doktryny. Rzecz zresztą oczywista, absurdem byłoby bowiem chcieć w dzisiejszych czasach trzeźwego myślenia i ciężkich doświadczeń powojennych, kryzysowych, a zwłaszcza bolszewickich, chcieć na serjo zaprowadzać w społeczeństwie XX-go wieku jakieś utopijne teorje romantyczno-filozoficzne z przed stu lat. Nie zgodziłby się na to — szczerze mówiąc — przedewszystkiem żaden z polskich socjalistów, wiodących w istocie nawskroś burżuazyjny żywot i czerpiący z tego burżuazyjnego żywota swe stanowiska w społeczeństwie, posady, dochody, a nieraz nawet i dość znaczne kapitały prywatne, co zgoła sprzeciwia się prawomyślności socjalistycznej. Wobec tego wszystkie-

go pozostaje w stronnictwie socjalistycznem z całego, bardzo obfitego programu jedynie tylko nazwa i zamknięte gdzieś w szafie demagogiczne hasła, które wyciąga się w odpowiednich momentach, zwłaszcza wyborczych, aby je rzucać w tłum dla tumanienia ludzi i werbowania głosów.

Weźmy teraz dla antytezy konserwatystów. Bardzo piękny program, bardzo realny, dojrzały, twórczy. Ale znowu tylko program teoretyczny, bo w praktyce stronnictwo konserwatywne, jak każde inne, wchodzić musi — klątwą fatalizmu partyjnego — w tysięczne kompromisy z t. zw. „realizmem politycznym“, które program jego w praktyce zupełnie nieraz wypaczają i karykaturują. Oportunizm kuluarowy dyktuje konserwatystom raz po raz popieranie zasad i głoszenie haseł, bezwzględnie sprzecznych już nie tylko z programem, ale wprost nawet z zasadniczą ideologją i racją bytu wszelkiej mentalności konserwatywnej. I w tem stronnictwie również — niby tak wysoce ideowem — ktokolwiek kiedykolwiek występował z logicznem żądaniem wykonywania już nietylko ideowego, ale choćby nawet drukowanego programu, wyśmiany był z reguły jako człowiek „nierealny“ i dla partji niewygodny. Mimo więc wszelkich wzniosłych frazesów rozstrzyga i w tem stronnictwie nawskroś materjalistyczny, doraźny aktualizm i oportunizm, główna uwaga zwrcona jest na zdobywanie jakąbądź drogą mandatów sejmowych i nic nie sprawia partyjnemu konserwatyście większej radości, jak zdobycie opinji, że jest przecież „także postępowcem“!

A więc kompletne przekreślenie właściwej racji bytu i roli konserwatyzmu na szali sił społeczno-politycznych w państwie.

Zbytecznem jest rozwodzić się nad wprost już

obrzydliwem zakłamaniem innych partji, jak róż=
nych, coraz nowszych stronnictw „ludowych“ lub
kameleonowej Narodowej Demokracji. Pierwsze są
typowym wyrazem żerowania na chłopie polskim
różnych karjerowiczowskich ambicji inteligenckich,
czysto nawet miejskich, nie mających ze wsią nic
do czynienia, a werbujących tylko za wszelką cenę
wyborcze głosy włościańskie wśród wstrętnego,
oszukańczego schlebiania masom chłopskim i nie=
sumiennego rozbudzania w nich właśnie najgorszych
instynktów. Chcąc pozyskać głos chłopa wmawia
w niego spekulant polityczny, że wszystko w Polsce
do chłopa winno należeć, a przedewszystkiem zie=
mia. Obiecuje więc chłopstwu złote góry i roznieca
w nim bandyckie instynkta na cudzą własność.

Oto generalna linja „praktyczna“ wszystkich
partji „ludowych“ bez wyjątku, a różnice między
niemi polegają właściwie tylko na łagodniejszem lub
ostrzejszem wychowywaniu chłopa na skrajnego
egoistę i bandytę. Składamy tu świadectwo praw=
dzie, obnażonej z wszelkich patetyczno=frazeologi=
cznych obsłonek. System to oczywiście nawskroś de=
prawujący chłopską większość społeczeństwa pol=
skiego, gdyż wychowuje chłopa zakłamanem po=
chlebstwem.

No, a o szerokim obozie Narodowej Demokra=
cji, zmieniającej co chwila swe idee, programy i na=
stawienia, niema nawet co mówić. Stronnictwo to
faktycznie jest najskrajniejszym wyrazem totalnego
oportunizmu. Raz chce służyć Bogu, to znowu dja=
błu, raz głosi najskrajniejsze hasła radykalne i po=
gańską nienawiść bliźniego, aby zaraz potem prze=
nieść się do zakrystji i z faryzeuszowskim gestem
przewracać pobożnie oczami dla zdobycia głosów
wyborczych dewotek i kucharek, co nie przeszkadza

mu wiązać się z socjalistami, a nawet w pewnych wypadkach popierać komunistów w imię „swobody demokratycznej“. A najobłudniejszem obliczem endeckiego zakłamania bywa firmowanie się „apolitycznym katolicyzmem“. Gdy ktoś o sobie to twierdzi, to z absolutną pewnością można wiedzieć, że jest w istocie najbardziej zacietrzewionym endekiem, nadużywającym nadrzędnego sztandaru Kościoła dla obłudnych, zamaskowanych celów partyjnych.

W endecji wypaczyła się najbardziej wszelka idea patrjotyczna, gdyż wykarykaturowana została w skrajnie pogański egoizm i materjalizm partyjny, wywracający zasady religji i etyki, prawdę historyczną i najżywotniejsze interesy państwa i społeczeństwa do góry nogami — wyłącznie tylko dla celów doraźnych sukcesów wyborczych. I wogóle endecja we wszystkich swych formach kameleonowych nie jest żadnym programem politycznym — choć się raz po raz w zmiennych formach na to wysila — ale czemś w rodzaju skrajnej sugestji zbiorowej, czego przykłady przytacza nam nauka psychologji, a zwłaszcza psychjatrji oraz historja ciemnego, pełnego zabobonów średniowiecza.

Oto wierny obraz rzeczywistej rzeczywistości partyjnej. Jesteśmy pewni, że nikt, przyciśnięty do muru, prawdzie tej nie będzie w stanie zaprzeczyć, choćby przez okno, dla użytku ulicy, z napuszonem oburzeniem przeciw prawdzie tej piorunował.

Nawet o komunistach nie można powiedzieć, że są w stanie zrealizować swój teoretyczny program, mimo, że zmierzają do tego pozornie z bezwzględnym maksymalizmem i z rzekomą „integralnością“. I tu bowiem również widocznem jest już powszechnie, że teorja komunistyczna w zetknięciu z rzeczywistością życia przeobraża się wszędzie natych-

miast w rosyjski bolszewizm i w kapitalizm państwowy, w czem z prawdziwego komunizmu już tylko pusta nazwa pozostaje. I to więc, stosunkowo najintegralniejsze i programowo niby najbardziej bezkompromisowe stronnictwo jest jednak czemś innem w teorji, a całkiem czemś innem w praktyce.

Jest więc już dzisiaj rzeczą bezsporną, powszechnie i bez żadnych wyjątków stwierdzoną, że wszystkie stronnictwa polityczne znajdują się w stanie kompletnej degeneracji ideowej i programowej, a więc znajdują się istotnie

w djametralnej sprzeczności ze swym zasadniczym programem,

co jest naturalnem następstwem degeneracji i zmierzchu systemu parlamentarnego w dotychczasowem jego pojęciu i znaczeniu. Natomiast łączy wszystkie stronnictwa, nawet krańcowo sobie przeciwne, jedna wspólna, generalna cecha: integralny oportunizm.

A jest ten oportunizm naturalnym wynikiem przenikającego wszystkie stronnictwa prądu: bezpośredniego, doraźnego dążenia do władzy za wszelką cenę, a przedewszystkiem za cenę wszelakich ustępstw ze swego programu, nawet za cenę kompletnego przekreślenia swego programu w praktyce. Absurdalne więc widzimy wszędzie zjawisko: drukowany program ideowy pozostaje już tylko na sztandarach, wyciąganych przy pewnych okazjach nieszczerze z partyjnego lamusa, a praktyczna rzeczywistość stronnictw jest całkiem inna, gdyż opiera się już tylko na doraźnym interesie materjalistycznym, czyli tak zwanym cynicznie „realiźmie politycznym. Ten właśnie realizm sprawia, że najkonserwatywniejsza partja idzie nieraz aktywnie lub przy-

najmniej milcząco, na najradykalniejsze w państwie zamierzenia, a z drugiej strony najskrajniejszy ra=dykalizm gotów jest do najwsteczniejszych kompro=misów, o ile są mu w danej chwili na rękę. W ten sposób panuje w całym świecie partyjno=politycz=nym jedno wspólne, wielkie zakłamanie.

Wynika zaś stąd jasno, jak na dłoni, że pozor=ne różnice programowe są w rzeczywistości tylko różnemi metodami dążenia do bardzo poziomych, doraźnie = materjalistycznych, zupełnie bezprogra=mowych i bezideowych celów: wywalczenia sobie w pewnym procencie dostępu do państwowego żło=bu i nadużycia następnie tego dostępu dla wyłącznie osobistych korzyści. Wskutek tego jedyną zmianą w państwie, jaką powoduje naprawdę dostanie się tej lub owej partji do wpływów i „żłobu", są wła=śnie tylko różnorodne nasilenia w ciężarach i cier=pieniach i społecznym przymusie, jakie ogół ludno=ści ponosi. Nic pozytywnego, produktywnego, a w żadnym razie trwale korzystnego z tej patrjo=kracji nie wynika. Widocznem jest tylko, że raz ta, potem znowu inna kategorja ludzi jest faworyzo=wana i uzyskuje różne korzyści materjalne, za co ogół ludności coraz cięższe znosić musi podatki i ograniczenia. Bo przecież takiej partji nigdzie nie było, a zwłaszcza w Polsce, któraby, doszedłszy do władzy, przyniosła ulgi ogółowi obywateli!

W ostatecznym więc i praktycznym rezultacie ogół ludności państwa opłaca tylko bezproduktywnie dotkliwe koszta egzystencji różnych partji, wysysa=jących ten ogół moralnie i materjalnie w imię teo=retycznych programów i podniecających haseł, któ=rych żadne stronnictwo nie może, a więc i nie my=śli na serjo realizować.

Taki stan rzeczy utrzymuje się obecnie już tyl=

ko sztucznymi sposobami: sugestywnej dialektyki, nadużywania idei patrjotycznej lub charytatywnej, z któremi każde stronnictwo na swój sposób usiłuje swój teoretyczny program identyfikować, a często również siłą, przymusem, gwałtem, niekiedy nawet terrorem. Muszą to czynić w większym lub mniejszym stopniu partje, dochodzące kolejno do władzy, gdyż naprawdę ogół obywateli, mając otwarte oczy na rzeczywistość, w żadne partyjne programy i frazesy i podniecające hasła już nie wierzy. Dlatego i ten ogół zachowuje się wobec różnych rządów i programów z najcyniczniejszym oportunizmem: wiedząc z doświadczenia, że każdy nowy program przynosi w praktyce — mimo dźwięcznych frazesów — coraz nowe tylko ciężary świadczeń publicznych, stara się wykorzystać ze swej strony doraźnie każdy stan rzeczy, wytworzony przez stronnictwo u władzy, bez jakiegokolwiek planu, ani racjonalnej myśli o jutrze. „Bierz, co i gdzie możesz!“ — oto generalne, praktyczne hasło ogółu obywateli w danych warunkach. Mniejsza o program, mniejsza o przekonania, mniejsza o jutro — trzeba brać, skąd się da, dostosowując się elastycznie do formuł i zwyczajów partji rządzącej, bo przecież partja ta, identyfikując się z państwem i z „interesem ogółu“, ściąga i tak siedem skór z obywatela.

Wprawdzie w niektórych państwach wydaje się walkę partjokracji — ale nieszczerą. Walka ta bowiem polega tylko na tem, że jakaś jedna, najsilniejsza w danym okresie partja dusi inne i mniej więcej dyktatorską obejmuje władzę, identyfikując jeszcze bardziej swój partyjny interes z interesem państwa. Tak jest zwłaszcza w Rosji, Niemczech i Włoszech, Tworzą się państwa monopartyjne. Ale pamiętać należy, że monopartyjnictwo jest

bądź co bądź także partyjnictwem i wcale nie odpowiada rzczywistym, głębszym przekonaniom cierpiącego przymus ogółu. Objawia się to, między innemi, także i w tem, że rządy takich państw monopartyjnych zmuszone są podtrzymywać swój autorytet w kraju sztucznie rozdymanym imperjalizmem w sprawach zagranicznych, grozić wojnami lub gdzieniegdzie nawet i rozpalać wojny (możliwie najmniej niebezpiecznie), aby tylko uzasadnić w oczach ogółu rację bytu i władztwa partji i zarazem odwrócić nazewnątrz uwagę społeczeństwa od jego wewnętrznych cierpień i niedoli.

Nie należy więc traktować ustalonego dziś w niektórych państwach systemu monopartyjnego jako zwiastuna nowej ery. Jest to bowiem w rzeczywistości tylko objaw krańcowego przerostu partyjnictwa, czego najlepszym dowodem i nieomylnym sprawdzianem jest fakt, że państwo monopartyjne daje korzyści i przywileje tylko „swoim ludziom", a dąży wyraźnie do wyeliminowania poza nawias życia obywatelskiego wszelkich żywiołów, nawet szczerze patrjotycznych, o innych przekonaniach. L'etat c'est moi! — oto przewodnia teza absolutyzmu partyjnego w państwie monopartyjnem.

A to przecież polega również na zakłamaniu, popartem fizyczną przemocą i suwerenną dialektyką, sprzeczną z przekonaniem i rzeczywistym interesem ogółu, nawet tych sfer, które z oportunistycznych względów formalnie do partji przystąpią. I dlatego taki system nie rokuje żadnej trwałości i nie przeżywa zwykle swych twórców. Wszelki bowiem egoizm może mieć najpiękniejsze nawet hasła, ale nie stworzy trwałej idei, co najwięcej tylko krótkotrwałe „namiastki" ideowe.

I dlatego nie wierzymy w produktywność żadnego partyjnego systemu, a szczególnie w Polsce, co nas oczywiście najbardziej dotyczy i obchodzi. Nie wynika z tego, żebyśmy odmawiali całkowicie dobrej woli tym wszystkim, którzy starają się system partyjny w kraju i przekonania ogółu zreorganizować czy przeorganizować. Uważamy tylko szczerze i uczciwie, że walczą oni beznadziejnie na zrujnowanych okopach, goniąc za dialektyką nowych formułek. Ale tym systemem pozyskają z absolutną pewnością tylko oportunistów, a nie mocnych ludzi. Dążenia te, jakiekolwiek one są i jakichkolwiek sfer i systemów dotyczą, kuleją wszystkie na jednym, kapitalnym punkcie: chcą dać przywileje jednym, a eliminują z życia polskiego drugich. Chcą tworzyć plany na podstawie najrozmaitszych „platform", stosując świadomie lub podświadomie system proskrypcji. A system ten, jak ślepy miecz, działa najczęściej zgoła fałszywie. Gromadzi się dokoła ośrodków organizacyjnych bezwolne stado, przejęte nie ideą, ale najbardziej poziomym interesem, gdy natomiast prawdziwie wartościowe jednostki pozostają poza nawiasem. I stąd takie formacje, choć tworzone niby w antypartyjnych założeniach, przybierają w gruncie rzeczy odrazu wszystkie cechy i wady materjalistycznego, skrajnie egoistycznego partyjnictwa i prolongują bezproduktywnie gasnący świat stronnictw politycznych, choćby nawet statuty i frazesy tych organizacji brzmiały całkiem inaczej.

Najgłębszą bowiem istotą i cechą wszelkiego partyjnictwa jest nie tyle twórcza, pozytywna myśl państwowa, czy narodowa, ile przedewszystkiem przeciwstawienie się innym, poza daną partją będącym — a więc ostatecznie nienawiść bliźniego.

Uczucie tej nienawiści płodzi nieraz tragikomiczne hasła: usunięcie od współpracy obywatelskiej wszystkich, którzy w niej dotąd pod różnymi sztandarami udział brali, a konwulsyjne, doktrynerskie szukanie ludzi nowych, a więc niedoświadczonych i niedowarzonych rekrutów. Tym rekrutom wbija się w mózgi różne formuły, a przedewszystkiem zapewnia posady i inne korzyści. W ten sposób nowa organizacja partyjna staje się odrazu bezmyślnem, bezideowem stadem, podatnem conajwięcej do najbliższych celów wyborczych, a struktura moralna nowej organizacji musi — czy kto chce, czy nie chce — oprzeć się na systemie szeroko uprawianej protekcji. Innego wyjścia i rezultatu być nie może...

Stąd pochodzi, że w nowoczesnem polskiem życiu partyjno-politycznem — bez względu na jego hasła i formy — biorą udział, oprócz bardzo nielicznej garstki przywódców, przeważnie tylko słabe, bezwolne jednostki, bez twardych przekonań i silnego charakteru. *Mocniejsze zaś jednostki, bardziej wartościowe, których udział mógłby dopiero podnieść poziom i użyczyć trwałości i produktywności danej akcji państwowej, usuwają się* — o ile zgóry nie zostaną proskrybowane — *z życia politycznego.* Bo takie silniejsze jednostki, chociaż bezporównania mniej mają w sobie egoizmu i popędu do karjery, niż pospolite stado partyjne, szanują się jednak, nie pójdą na frazesy, nie dadzą się pod sznur ranżować, ale mają uzasadnione pretensje, żeby ich zdanie w sprawach państwowych było należycie uwzględniane. Żądają, żeby się z niemi liczyć — ale też, kto to czyni, może na nich daleko więcej polegać, niż na bezmyślnym oportuniźmie

i żarłocznej interesowności słabego charakterem stada.

Nie rozumieją z reguły tej wielkiej prawdy partyjni organizatorzy i kierownicy. Wolą z zasady otaczać się bezwolnem a głodnem karjery i zysku stadem. I to właśnie jeden, generalny powód wię=cej współczesnego zmierzchu systemu partyjno=po=litycznego wszelkiego rodzaju.

Z takiej poziomej, rzec można „ordynarnej“ genezy wszelkich stronnictw politycznych pocho=dzą też pewne zasadnicze, organiczne ich wady, nie dające się uleczyć, a które noszą w sobie zaród śmiertelnej choroby, a więc krótkożywotności każ=dej partji, mimo nieraz świetnego jej startu i wiel=kich chwilowych atutów. A wady te organiczne kul=minują właśnie w tak charakterystycznym dla każ=dej partji oportuniźmie, kompromisowości, skraj=nym utylitaryźmie i wreszcie niby to trzeźwym, ale właściwie niezmiernie krótkowzrocznym realiźmie i aktualiźmie — co wszystko razem wypacza zgóry program, zamierzony charakter, sens i zdolność twórczą partji politycznej, a skazuje ją na mniej lub więcej efemeryczny żywot.

Te właśnie wady wywołują w każdej partji — bez wyjątku — atmosferę zainteresowań wyłącznie doraźnych, a więc niejako „geszefciarską“ pod każ=dym względem, uznającą tylko to, co jest chwilowo bezpośrednio aktualnem, co gotowe leży na talerzu. Wszystko inne, zwłaszcza wszelka planowa myśl o jutrze, jest z zasady proskrybowane. A więc pro=skrybcja partyjna eliminuje z życia publicznego nietylko głębiej myślące jednostki, ale i każdą głęb=szą myśl państwową wogóle.

A śmiertelne te wady, stwierdzić należy, ce=chują stosunkowo mniej stronnictwa radykalne lub

wywrotowe, a głównie niestety stronnictwa na spo=łecznej prawicy. Rzecz to zrozumiała z utylitary=stycznego punktu widzenia, gdyż burzyciele i wy=wrotowcy muszą z natury rzeczy więcej myśleć o jutrze — o przygotowywanym przewrocie — niż przedstawiciele wygodnej zasady utrzymywania status quo. I w tem leży wyjaśnienie zagadki, dla=czego w bieżącej epoce wszelkie skrajne ruchy i organizacje górują nad umiarkowanemi: pierwsze bowiem, mimo wszelkiego oportunizmu, mają je=dnak i muszą mieć pewien plan działania, pewną myśl o jutrze, choćby błędną i niezdrową, podczas gdy kierunki „prawicowe“, nacechowane wszystkie skrajnym materjalizmem i aktualizmem, żadnego planu, żadnej linji przyszłościowej na serjo nie ma=ją i nie uznają.

Przytoczmy dla przykładu drastyczną antytezę: bolszewizm a konserwatyzm.

Bolszewizm przygotowuje planowo rewolucję światową pod przewodnictwem Rosji. Ma więc pe=wną myśl planową na przyszłość, coprawda złą, ni=szczącą, piekielną — ale ją ma i właśnie dlatego po=rusza z posad całe warstwy społeczne, porządek rzeczy i państwa. A do czego na serjo zmierza kon=serwatyzm? Pomijając stosunki angielskie, pod każdym względem specyficzne, pozbawiony jest konserwatyzm gdzieindziej wszelkiej praktycznej, *pragmatycznej* idei, a natomiast ogranicza się do jałowych zebrań o charakterze informacyjno=kon=statacyjnym oraz, co najwięcej, do załatwiania bie=żących, doraźnych, stosunkowo drobnostkowych aktualjów, z wykluczeniem wszelkiej konsekwen=tnej planowości.

Z takiego zaś stanu rzeczy wynika oczywiście i to jeszcze, że prawicowa, umiarkowanie usposo=

biona, ale pozbawiona wszelkiej planowości część ludzkości zaskakiwana bywa raz po raz planową akcją żywiołów wywrotowych i staje ustawicznie wobec sytuacji, z któremi oczywiście rady dać sobie nie może. Nieprzygotowane zupełnie do należytego odporu stronnictwa mniej lub więcej prawicowe, nie znajdują innej drogi wyjścia, jak tylko słabe, niedołężne protesty gołosłowne oraz tchórzliwe, w istocie kapitulujące oświadczenia, że one przecież są „także postępowe“!

W rozważeniu całego, wyżej skreślonego, a niestety faktycznego stanu rzeczy, który nie oznacza jakiegoś przejściowego „kryzysu“ myśli i formy partyjno-politycznej, ale jest niewątpliwym symptomem zmierzchu tej myśli i formy, utwierdzić się należy w przekonaniu, że z biegiem naturalnej ewolucji stosunków nadchodzi obecnie okres, w którym nowa forma publicznej myśli i pracy obywatelskiej musi zastąpić dotychczasowe formy partyjne. Jakaż to jest ta nowa forma?

Jest oczywiście diametralnie odmienną od form i dróg strupieszałego świata partyjnego i na całkiem innej rozwija się platformie — poprostu w całkiem innym wymiarze. A zasadniczą jej cechą jest krystalizujący się coraz bardziej objektywizm, jako najważniejsza zdobycz nowczesnej ery. Drugą zaś cechą jest zastąpienie ogólnego politykowania i generalnych programów partyjno-politycznych, czy klasowo-społecznych, czy wreszcie jednostronnych programów egoistycznie-gospodarczych, realizacją konkretnych zadań publicznych, ustalonych według objektywnie przemyślanego planu na bliższą lub dalszą metę.

Istotnie bowiem przewodnie ideologje dotychczasowych stronnictw politycznych, oddziaływują-

ce oczywiście także i na organizacje społeczne i gospodarcze, stronnictwom tym podległe lub odwrotnie: będące źródłem tworzenia się stronnictw — oparły się i opierają jeszcze na momentach jednostronnie egoistycznych lub emocjonalnych. Oba te momenty nie wypływają oczywiście z rzeczowego, objektywnego traktowania spraw i problemów, ale tkwią korzeniami swymi w kompleksie przesądów z epok, dawno minionych, albo w kompleksie walk o skruszenie tych przesądów. Ustrój stanowy, niewolnictwo w różnych formach, skrępowanie myśli, różne absurdalne pojęcia prawne i zwyczajowe (tortury, sądy boże i t. p.) — oto przykładowe momenty pierwszego z wymienionych kompleksów pojęć, który krępował ludzkość wielostronnemi kajdanami i uniemożliwiał rzeczowe traktowanie spraw. Potem nastąpił prawem reakcji okres wprost przeciwny: emocjonalnego, hasełkowego, rewolucyjnego burzenia więzów. Ale w tym drugim okresie — demokratycznym — myśl ludzka wybujała w walce w przeciwną ostateczność tak, że powstałe na gruzach dawnych, zakostniałych pojęć nowczesne doktryny emocjonalno-postępowe zatamowały również możność objektywnego myślenia. Przesąd średniowieczny zastąpiony został tylko nowoczesnem hasłem, równie bezkrytycznem. I jeżeli dawniej śmierć lub więzienie czekały tych, którzy przesądom chcieli się przeciwstawić, to w nowych czasach ten sam mniejwięcej odwet grozi tym, którzy usiłują przeciwstawić się emocjonalnym hasłom. Przykładowo biorąc, jeżeli dawniej szedł na śmierć, do więzienia lub na wygnanie ten, kto chciał ulżyć niewoli, to dzisiaj grozi to samo mniejwięcej temu, kto usiłuje przeciwstawić się demagogicznej anarchji.

Przeżywamy więc obecnie okres stopniowej,

choć oczywiście nie prostolinijnej likwidacji tego drugiego okresu — a więc okresu walki o wyzwolenie ludzkości, która jednak, jak to aż nadto dobrze widzimy i odczuwamy, przecholowała bardzo znacznie w swych granicach i celach i przez to właśnie w nowe zakuwa nas pęta: pęta już nie przesądów, ale zato demagogicznych haseł wywrotowych, pozbawionych wszelkiego objektywizmu i narzucających również społeczną niewolę. A zewnętrznym wyrazem tej nieobjektywnej walki są właśnie stronnictwa polityczne.

Dopiero w miarę likwidacji tego drugiego okresu, tego wyścigu nierzeczowych haseł emocjonalnych, w miarę budzącego się otrzeźwienia z nich, wstępujemy zwolna na tory pewnego, przynajmniej stosunkowo objektywniejszego myślenia. Przestajemy wierzyć w takie hasła, dotychczas uświęcone i nietykalne, że np. miarodajną warstwą społeczną jest niewykształcony, prymitywnie żyjący i myślący proletarjat, albo że rządy w kraju sprawować może kilkadziesiąt miljonów ludzi, albo że najwyższem dobrem doczesnem człowieka jest bezkresny rozwój gospodarczy, czyli dążność „bogacenia się w nieskończoność“, co przecież w ostatecznym rezultacie płodzić musi tylko bolszewizm, albo że wtykanie każdemu do rąk raz na kilka lat kartek wyborczych ma obywatelom zastąpić daleko realniejsze korzyści i t. p. Te i tym podobne hasełkowe fetysze są już mocno nadkruszone i walą się z dniem każdym, a na ich rumowiskach kiełkuje trzeźwy, objektywny pogląd na wszystkie te sprawy. Ale ten objektywizm jest możliwy dopiero obecnie, po kolejnem przezwyciężeniu obu poprzednich okresów, — przesądu oraz emocjonalnego hasła — i dlatego właśnie możemy twierdzić, że jest

to największa zdobycz zbliżającej się połowy XX-go wieku i wstęp do nowej ery.

Ale w tej nowej erze niemasz oczywiście już miejsca dla emocjonalnych lub jednostronnie egoistycznych form partyjno-politycznych i dla zakłamanego w swych podstawach, ludowładczego parlamentaryzmu, a otwiera się natomiast rola dla prądów i organizacji, opartych ideowo na objektywiźmie i dążących do realizacji nie haseł, ale konkretnych, rzeczowo przemyślanych zadań państwowych i społecznych.

Takich zadań ma dzisiaj wiele każde państwo przed sobą, a wszystkie one, razem wzięte, decydują o jego rozwoju i wprost egzystencji. Ma ich szczególnie wiele przed sobą Polska, jako państwo, wskrzeszone niedawno do nowego, samoistnego bytu i umiejscowione geograficznie w szczególnie trudnej i eksponowanej sytuacji. Na całokształt tych zadań składają się pierwszorzędne problemy zagraniczne, bliższe i dalsze, przeróżne kwestje ustrojowe, narodowościowe, społeczne, gospodarcze, a zwłaszcza kryzysowe i to zarówno w materjalnem, jak i moralnem tego słowa znaczeniu. A wszystko to razem zbiega się i kulminuje w nadrzędnej idei mocarstwowej.

Skuteczna zaś, prawdziwie pozytywna realizacja tych zadań, która da odpowiedź na pytanie: być, albo nie być — nie może opierać się na demagogicznych hasłach, lekkomyślnych eksperymentach, emocjonalnych porywach lub na werbującem głosy wyborcze oszukaństwie mas, ale na trzeźwym objektywiźmie, wyznającym bezspornie zasadę, że dwa razy dwa jest i może być zawsze tylko cztery i że kto prawdzie tej usiłuje się przeciwstawić, ten

prędzej czy później musi ulec przed wymaganiami życia i rzeczywistości.

Otóż do konsekwentnej realizacji takich zadań konkretnych w imię zdrowego rozsądku, uczciwej logiki i głębiej pojętej państwowej racji stanu dzisiejsze stronnictwa polityczne okazują się zupełnie niezdolne. Dążąc bezpośrednio do władzy, doraźnie, z dnia na dzień, co oczywiście tylko drogą ustawicznych kompromisów jest możliwem, gubią swój program i zaprzeczają przez to swej racji bytu. Wszak doszło u nas już do takiego absurdu, że ambitne jednostki, gnane żądzą stworzenia à outrance nowych tworów partyjnych — wobec kompletnego wyjawiania się i rozproszkowywania się dawnych — szukają sztucznie, na gwałt, zarówno nowych programów, jak i nowych ludzi, nie wiedząc jednak dokładnie same, czego chcą. Wiedzą tylko, że chcą nowych partyj, którym mogłyby przewodniczyć i przez nie zdobywać władzę i związane z nią osobiste korzyści. Stąd niejednego takiego poszukiwacza można spotkać w kraju, który z latarnią Diogenesa szuka zwolenników dla czegoś, z czego sam jeszcze dobrze sprawy sobie nie zdaje.

Szuka, ale nie znajdzie — chyba tylko gromady jakichś bezmyślnych lub bezskrupulatnych karjerowiczów, którym nie o program, ale o doraźny interes chodzi, albo wreszcie słabsze charakterem jednostki, które zawsze i wszędzie za nos wodzić się dają, nawet bez określonego celu. Ale tęgich ludzi trudno już dziś pozyskać dla partyjnych celów. Partyjnictwa przegrały i przechodzą zwolna do historji.

A na ich miejscu powstawać będą — i bodajże już powstają — *szkoły*, reprezentujące pewne głębsze myśli społeczne i państwowe i dążące, poza

ustrojem i areną partyjno-parlamentarną, do opracowywania i stopniowego rozwiązywania zarówno pewnych nadrzędnych problemów, jak i szczegółowych zagadnień, w jednym i drugim wypadku konkretnych. Ogólnikowe politykowanie z dnia na dzień, pływanie w „sytuacjach bieżących“, ustępuje coraz wyraźniej precyzującym się zadaniom państwowym. Stąd „dyskusja polityczna“, zbyt często pozbawiona pragmatycznych konsekwencji, ustępuje miejsca skonkretyzowanym dążeniom w określonych kierunkach.

A takie dążenia nie mogą realizować się przez zwykłe partje, żyjące przygodą dnia i konjunkturą, ale wymagają przedewszystkiem szkoły i niejako „seminarjów“, wnikających wgłąb danych zagadnień i stwarzających im przedewszystkiem silne fundamenty naukowe i ideowe, na których dopiero czynna, konsekwentna, celowa akcja i propaganda może się racjonalnie rozwijać.

W zrozumieniu tej ewolucji stosunków powstała w gronie zwolenników naszego wydawnictwa stopniowo — rzec można automatycznie — idea i organizacja Związku Polskiej Myśli Państwowej, jako ukonstytuowanej specjalnym statutem akcji, rozwijającej się na całkiem innej platformie, niż stronnictwa polityczne. Jest to właśnie prototyp zrzeszenia politycznego, mającego jednak na celu pełnienie szeregu zadań konkretnych i wpływanie w tym zakresie na czynniki miarodajne i opinję publiczną, ale bez dążenia do stanowisk oficjalnych i władzy i bez zajmowania się tem wszyst-

kiem, co podpada pod pojęcie „politykowania“ w pospolitem tego słowa znaczeniu.

A ponieważ organizacja i akcja tego rodzaju stanowią bezsprzecznie coś nowego, nieznanego dotąd w naszem życiu publicznem, więc nic dziwnego, że o akcji naszej krążą w prasie i opinji publicznej najbłędniejsze mniemania i tragikomiczne często nieporozumienia. Politycy i publicyści, a za nimi opinja szerszych sfer nie mogą poprostu dać sobie rady z problemem, gdzie nas wypada umieścić, w którą ze znanych, utartych szufladek partyjnych czy społecznych nas wcisnąć? Dziennikarze i wogóle ludzie, zajmujący się polityką, nie są w stanie wyobrazić sobie — mimo licznych artykułów „Naszej Przyszłości“, wyjaśniających rzecz wyraźnie, jak na łopacie — żeby mogło istnieć coś w Polsce, co nie dałoby się zaranżować w jedną z istniejących, utartych i wytartych rubryk partyjnych lub klasowych. I stąd dlatego, w danych okazjach, lokują nas samowolnie, z zabawnym gwałtem, to wśród konserwy, to specjalnie wśród ziemiaństwa, to znowu wśród faszystów, czy hitlerowców, czy sanatorów, czy gdziekolwiek indziej — zależnie od fantazji goniącego za nami dziennikarza lub na podstawie chwilowego wrażenia, jakie odnosi dany publicysta lub czytelnik z przygodnej, zwykle bardzo pobieżnej lektury jakiejś naszej enuncjacji. Nie brak oczywiście i takich, którzy klasyfikują nas na podstawie jakiegoś dorywczo wyrwanego zdania, często zwyczajem reporterskim w połowie ucinanego, przez co niezawodny absurd wychodzi.

Przyjmujemy to wszystko z niewzruszonym spokojem, bo zdajemy sobie dobrze sprawę z niezmiernej inercji psychiki ludzkiej, z siły bezwładności, z jaką pędzą naprzód utarte wyobrażenia

i przyzwyczajenia, zanim nareszcie nastąpi otrzeźwienie i rewizja zakostniałych poglądów. Wszak wiadomo, jak trudno jest naruszyć i zmienić ustabilizowany system pojęć. A struktura partyjno-polityczna oraz klasowo-społeczna jest od niepamiętnych czasów tak ufundowana w społeczeństwie, że trzeba oczywiście odpowiedniej siły, czasu i konsekwencji, aby ludzie mogli zrozumieć, iż poza nią może zaistnieć coś całkiem innego.

Jedną z najważniejszych cech nowego systemu pracy i propagandy politycznej — i związanej z tem metody organizacyjnej — jest wyeliminowanie walki o władzę, a przedewszystkiem o mandaty parlamentarne, przez co wyeliminowany zostaje również oportunizm. A przez usunięcie oportunizmu stwarza się możliwość celowej, konsekwentnej, bezkompromisowej pracy nad realizacją wytkniętych celów konkretnych, uniezależnia się też pracę tę, ogółem biorąc, od konjunktur, które mogą ją conajwięcej już tylko niekiedy utrudniać lub przedłużać, ale nie będą w stanie na dłuższą metę ją wypaczać lub udaremniać, jak to bywa z zasady w atmosferze partyjno-politycznego oportunizmu, krótkowzrocznego aktualizmu i karjerowiczowskich przetargów.

A Polska wymaga szczególnie zastosowania przez inteligentne sfery społeczeństwa metody konsekwentnego dążenia w pewnych, określonych kierunkach na dłuższą metę i z szerszym horyzontem. Nie jest zaś możliwą do zastosowania taka metoda — polityki dalekosiężnej, ponadkonjunkturalnej — dla stronnictw politycznych także z dwóch jeszcze powodów.

Najpierw z powodu krótkiego zwykle żywota naszych stronnictw, a przynajmniej krótkiego ich

żywota przy jednym programie. Wszak u nas partje polityczne — w pełni swej aktywności — zwykle bardzo krótko trwają. Najczęściej po kilku latach blasku likwidują się, albo popadają w stan mizernej wegetacji, albo wreszcie zmieniają program, orjentację i charakter. A w takich warunkach niepodobna rozwiązać żadnej donioślejszej sprawy państwowej, wymagającej z natury rzeczy dłuższego, nieraz nawet bardzo długiego okresu planowej pracy.

Powtóre, panuje powszechnie u polityków i publicystów politycznych zasadnicza omyłka w pewnem pojęciu i nomenklaturze: co jest politycznie realnem, a co nierealnem?

Otóż zawodowi politycy i publicyści uważają za realne z reguły tylko to, co już jest na porządku dziennym polityki oficjalnej, co przed nimi niejako na talerzu leży. Tem się tylko przejmują, koło tego się kręcą i nad tem gotowi są prowadzić nieskończone dyskusje. Natomiast z suwerennem lekceważeniem, z ironiczną pogardą odnoszą się zwykle do wszelkiej myśli, wszelkiego programu, które nie leżą jeszcze na stole lub nie mają znaleźć się na nim zaraz jutro, ale które należy dopiero przygotować do realizacji trafnem przewidywaniem i konsekwentną robotą. A przecież doświadczenie wykazuje raz po raz na szeregu bardzo wybitnych przykładów, że nieraz to, co w bieżącej polityce aktualistycznej uważane bywa za „realne“, wcale się nie sprawdza, a sprawdza się natomiast to właśnie, co każdy „trzeźwy“ polityk zawodowy traktuje zgóry za fantazję.

Przykład, który niech starczy za wszystkie inne: jeszcze dwadzieścia lat temu, nie mówiąc już o jakimkolwiek dawniejszym, przedwojennym ter-

minie, nagły upadek wszystkich trzech potęg zaborczych i powstanie Polski, całkiem niezależnej, ze wszystkich trzech dzielnic złożonej, wydawały się oczywistą utopją każdemu „trzeźwemu" politykowi, a ewentualnie realnem tylko jakieś rozwiązanie austro-polskie, rosyjsko-polskie lub niemiecko-polskie. Ktoby był wówczas wystąpił z programem Polski takiej, jaką jest dzisiaj, tego „trzeźwi i realni" politycy i publicyści traktowaliby z absolutną pewnością za warjata. A jednak stało się wprost przeciwnie: rozwiały się w mgłę wszelkie realne kombinacje, a urzeczywistniła się największa, niepojęta wówczas fantazja!

Albo inny przykład, tym razem szczegółowy: co powiedzieliby nasi wielcy realiści, żyjący z dnia na dzień, gdyby im ktoś prorokował już nawet nie dwadzieścia, ale choćby tylko dziesięć lat temu, że w Krakowie, na Wawelu, zjadą się premjerzy Francji i Niemiec, aby tam, jako na neutralnym gruncie, przeprowadzić rozmowę, której z pewnych względów nie mogli w tym czasie prowadzić bezpośrednio między Paryżem a Berlinem?

A naodwrót, ileż to spraw i projektów, uważanych za bardzo realne, nawet naglące w różnych momentach, nie zrealizowało się wcale!

Z tego wynika jasno, jak na dłoni, że poważną należy wprowadzić korekturę w życiu politycznem co do nomenklatury: „realne" i „nierealne". Najrealniejszem bowiem okazuje się najczęściej właśnie to, czego wcale jeszcze niema, co nie leży jeszcze na porządku dziennym polityki oficjalnej i dziennikarskiej, ale co przygotowuje jakaś jednostka, czy grupa, czy ogół społeczeństwa planowo, konsekwentnie, cierpliwie na długie nieraz lata naprzód.

A to jest właśnie dziedzina i metoda, której partje polityczne, złożone zazwyczaj ze zbyt trzeźwych ultra-realistów, dojutrkowiczów, absolutnie nie chcą lub nie mogą zrozumieć. Żądają natychmiastowych, doraźnych efektów. I dlatego cały świat partyjny wyjałowiał, obracając się w kółko koło różnych efemerycznych aktualjów, jak ów wąż mityczny, który gryzie własny ogon. Zmierzch partyjnych bogów....

Niedawno temu byliśmy w Warszawie świadkami ciekawego wypadku, ilustrującego jaskrawo powyższy stan rzeczy.

Na poważnem zebraniu w grudniu u. r. w pewnej wyższej uczelni, rozwinął prelegent pewną koncepcję polityki zagranicznej narodu polskiego na dalszą metę, opierając się na nauce doświadczeń, jaką dają nam dzieje nasze z czasów dawniejszych i ostatnich, jak również rzut oka na ewolucję stosunków w Europie i na zadania, jakie prawdopodobnie staną kolejno przed polską myślą państwową. Wykład, ilustrowany mapami i wykresami, był jasny, prosty, zrozumiały, o pewnem naukowo-historycznem zacięciu. To też w dyskusji starali się następnie przygodni mówcy problem ten z różnych stron oświetlać i precyzować. A naczelną myślą przewodnią całego zebrania było dążenie do rozbudowania w prywatnych, poważnych sferach społeczeństwa polskiego jakiejś samodzielnej myśli i idei o ewentualnych drogach przyszłych losów państwa.

Nagle wstał jakiś publicysta-aktualista, osiwiały na niwie dziennikarsko-partyjnego politykowania i puścił na salę efektowną rakietę: oświadczając krótko a brutalnie, że wszystko, o czem się mówi, to utopje, zaskoczył słuchaczy „realnem“

pytaniem, czy chcą iść za Stalinem, czy za Hitlerem? Bo to wynika przecież z „realnej polityki aktualnej“, że zbliża się moment, w którym Hitler postawi Polsce „ultimatum“ oświadczenia się po jednej lub drugiej stronie w wojnie niemiecko-bolszewickiej i wówczas będziemy musieli wybrać, a wszystko inne, to furda!

Oczywiście poważne, ale w tłumie zawsze bezkrytyczne stado, zgromadzone na sali, zaskoczone tak efektownym sofizmatem, rzuconym przez partyjnika-aktualistę, nie potrafiło zdobyć się na nie innego, jak nagrodzenie rzęsistymi oklaskami sprytnie podsuniętego im wniosku oświadczenia się w stu procentach za Hitlerem!

Dożyliśmy więc ciekawego — a raczej bardzo nieciekawego — momentu i zjawiska, że nastawiona od niepamiętnych czasów antyniemiecko publiczność warszawska, chorująca aż nazbyt na ideologję „słowiańską“, grzmotem oklasków wita w roku Pańskim 1936 perspektywę całkowitego wprzęgnięcia się do rydwanu niemieckiego, rzekomo jedynie zbawczego z grożącego Warszawie niebezpieczeństwa żydowsko-bolszewickiego, z którem widocznie ta Warszawa bez pomocy pruskiej pikelhauby rady dać sobie nie potrafi!!!

A skandal ten, którego byliśmy świadkiem, wywołany został na tem zebraniu jedynie i wyłącznie tylko przez zręczne podsunięcie machiawelskiego dylematu przez typowego, zakostniałego w dziennikarsko-politykierskiej rutynie aktualistę. Ani jemu, ani nikomu z obecnych nie przyszło na myśl, że oprócz postawionej przez niego alternatywy — opartej notabene na powierzchownej i błędnej informacji — mogą być i są jeszcze inne drogi

wyjścia dla polskiej polityki, wcale nie tak rozpaczliwe, jak je doraźny mówca przedstawił.

Oto, na jakie manowce sprowadza nawet poważną, spokojną opinję publiczną obrzydliwa, bezmyślna, krótkowzroczna politykierja partyjna i niemniej od niej bezmyślny i szkodliwy aktualizm! A ujawnić należy, że ów mówca rakietowy jest przekonań mniejwięcej zachowawczych, a wspomniane audytorjum składało się z osób o usposobieniu również umiarkowanem i bądź co bądź wyższem wykształceniu. A cóż dopiero mówić o rezultatach podobnie „rakietowej" metody aktualistycznej w szerszych masach! Nic dziwnego, że dzięki partyjnictwu wszelkiego rodzaju i wstrętnym metodom poczytniczo-dziennikarskim za wszelką cenę szerzy się tam z jednej strony bolszewizm pod masońsko-żydowską batutą, z drugiej zaś dziki, bezmyślny, jałowy nacjonalizm, małpujący Hitlera, a notabene na anarchicznym gruncie słowiańskim niezdolny do rzeczywistego odtworzenia nawet tych dodatnich stron, które hitleryzm dla Niemiec ze sobą przynosi.

I dlatego właśnie odżegnujemy się stanowczo od wszelkiego partyjnictwa, jakiegokolwiek typu i rodzaju i stanowczo nie wierzymy, aby jakikolwiek twór — stary czy nowy — o charakterze partyjnym mógł przynieść Polsce cośkolwiek na serjo dodatniego. Osiemnaście lat codziennej obserwacji w odrodzonej Polsce wykazuje nam niezbicie, że wszelakie twory i „przekonania" partyjne, to w ostatecznym rezultacie nic innego, jak tylko rwanie się do żłobu z odpędzaniem od niego innych, już nasyconych. Stąd wynika również efemeryczność naszych nartji. Bo zaprawdę, gdzież one są, gdzież ich świetność po tylu niedawnych błyskach?

Gdzież program, dzieło i obóz Wielkiej Polski? Gdzież odrodzenie ojczyzny przez „zdrową warstwę włościańską“? Gdzież ewangelja robotnicza socjalizmu? Gdzież świetny niedawno meteor konserwatywny? Gdzież apostolstwo idei Chrześcijańskiej Demokracji? Gdzież wreszcie potężny obóz państwowy Bloku Bezpartyjnego?

Wszystko to błysło i trzasło i tylko albo popiół z niego pozostał, albo mizerna wegetacja — raczej już tylko w artykułach dziennikarskich, niż w rzeczywistości. Pozostała po osiemnastu latach działania form partyjno-politycznych jedynie tylko głęboka nienawiść wzajemna, zaszczepiona przez partje w dusze polskiego ogółu. Nienawiść — realnie i konkretnie biorąc — właściwie bezprzedmiotowa, jałowa, ogłupiająca, niezmiernie szkodliwa, bo rozbijająca społeczeństwo nawskroś, aż do najgłębszych jego komórek, uniemożliwiająca wszelką skuteczną, zbiorową współpracę nad jakimkolwiek problemem i osłabiająca naród polski wobec prawdziwych niebezpieczeństw, które mu nietylko grożą, ale już bezpośrednio atakują i podminowują. I podczas gdy olbrzymia, światowa organizacja międzynarodowo-żydowska, wykształcona i spojona wielowiekowem doświadczeniem — gdzie niemasz niestety tromtadracji, ani meteorycznych świecidełek, ale potworna rzeczywistość — grozi nam i zalewa Polskę ze wszech stron, wprzęgłszy do swego rydwanu cały, zbolszewizowany świat rosyjski od wschodu, a masonerję od zachodu, to nasza polska myśl społeczno-polityczna znajduje się w stanie zupełnego rozbicia i rozproszkowania, paraliżowana w dodatku bezmyślną nienawiścią bliźniego i ogłupiającym, tępym snobizmem osobistym rodaków wszelakich zawodów i przekonań.

Tak jest! Bo spróbuj tylko, Polaku, świadomy tej groźnej sytuacji, zwrócić się do tego lub owego z twoich rodaków z projektem rzeczowego współdziałania w jakiejś sprawie publicznej! O ile nie jesteś przypadkiem jakimś wielkim dygnitarzem lub jakimś wpływowym „prezesem“, którego się chwilowo „potrzebuje“, to zobaczysz, co cię spotka! Generalne zlekceważenie, albo łobuzerskie ataki partyjno-prasowe. Obryzgany błotem, będziesz zmykać, gdzie pieprz rośnie!

Zato dla wszelakich tromtadrackich porywów o charakterze snobistycznym znajdziesz otwarte, przepełnione sale i rzęsiste a bezmyślne oklaski.

Do takiego to stanu bezwładu, marazmu i ogłupienia doprowadziło nas bezduszne partyjnictwo wraz ze swym bezproduktywnym aktualizmem, zalecającym aferowanie się bieżącemi przygodami dnia, a wykluczającym wszelkie celowe, planowe przygotowanie jutra. Czas ostatni skończyć z tem partyjnem ogłupianiem narodu, które w ostatecznych swych rezultatach przynosi doraźne korzyści — posady, mandaty, zaszczyty i pieniądze — zawsze tylko nielicznym jednostkom wśród rozczarowanych miljonów i spełnia znakomicie rolę rozsadzania i osłabiania Polski, jakiej właśnie życzą sobie wrogie nam potężne organizacje wywrotowe.

I dlatego napróżno konserwatyści z pod znaku warszawskiego „Czasu“ usiłują wykazywać, że prąd, reprezentowany przez Naszą Przyszłość, jest także „konserwatywny“. Napróżno socjaliści silą się na łamach „Robotnika“ lub „Naprzodu“ na wtłaczanie nas gwałtem do jakiejś znanej im, utartej i wytartej szufladki partyjnej lub klasowej. Napróżno prasa „endekoidalna“ wszelakich swych typów kameleonowych, starych, młodych i najmłodszych,

mozoli się nad tem samem. Wszystko to absurda, bo my dość napatrzyliśmy się wszelakiemu partyjnictwu, choćby już tylko przez ostatnich lat osiemnaście i poznaliśmy nawskroś, co ono wszystko razem jest warte i jaka jest etyka i produktywność programów, przekonań i dziennikarstwa partyjno-politycznego.

Prochy i popioły — żeby nie rzec jeszcze gorzej!

Redakcja Naszej Przyszłości.

PIERWSZY GROM!

(O uzdrowienie prasy polskiej)

Poważna, rzeczowa, na faktach oparta kampanja w poważnej sprawie, decydującej w bardzo znacznym stopniu o moralnem zdrowiu, a stąd i o politycznej tężyźnie całego narodu, nie może urwać się na paru wystrzałach dziennikarskich, ale musi być przeprowadzona integralnie — do końca. Musi przedewszystkiem dlatego, że z walnym problemem moralnego uzdrowienia naszego dziennikarstwa wiąże się bezpośrednio kwestja zwycięstwa lub przegranej Polski w walce z atakującemi ją różnemi doktrynami i światowemi organizacjami wywrotu.

Jak się to wiąże? Rzecz bardzo prosta. Jeżeli np. jakaś polska organizacja lub wydawnictwo walczy z bolszewizmem, a inne polskie wydawnictwo, choćby z firmy swej i pretensji ultra-patrjotyczne, zaatakuje tamto perfidnie i obrzuci je błotem oszczerstw w opinji publicznej, albo nie chce przyjąć wyjaśnienia, czy sprostowania oczywiście niesprawiedliwych zarzutów, to kto zyskuje ostatecznie na takiej taktyce prasy? Naturalnie, że zyskuje bolszewizm, skoro jedno polskie wydawnictwo paraliżuje przeciwbolszewicką akcję drugiego. Sprawa dla bolszewików jasna i prosta i cieszą się niezmiernie z takiego postępowania „patrjotycznego" dziennikarstwa polskiego, które wykonuje za nich robotę i usuwa im z drogi przeciwności.

Wiadomo naszym czytelnikom, w jak perfidny, iście łobuzerski sposób — bo innego wyrażenia trudno nam dobrać — poszła pewna część prasy pol-

skiej z wiosną ubiegłego roku na rękę bolszwizmowi, obrzucając Naszą Przyszłość pompatycznym zarzutem zdrady kraju na rzecz Niemców przez niesłychanie spryciarskie wyrwanie, przykrojenie i wykręcenie dwóch zdań z naszego ówczesnego artykułu programowego p. t. „Walka ze światem Marksa" — i to pomimo bezspornego faktu, że sens tych dwóch zdań był właśnie antyniemiecki. I na nic potem nie zda się, że różne nasze gazety rozpisują się sensacyjnie a powierzchownie o „okropnościach bolszewickich". Do wszelakich bowiem sensacji i okropności przyzwyczaja się łatwo powojenna publiczność, która od dwudziestu przeszło lat żyje ciągle w atmosferze okrucieństw i wywrotów wszelkiego rodzaju.

Nowy dowód metod prasowych znajdujemy, między innemi, w jednym z jesiennych numerów diennnika „A. B. C.". W poprzednim tomie Naszej Przyszłości, w artykule p. t. „Dorobek programowy", zamieściliśmy w ustępie o sprawach narodowościowych następujące zdanie:

„Niemasz w Polsce, w głębszej istocie rzeczy, poza kwestją ruską, żadnej innej kwestji mniejszościowej, a więc ani żydowskiej, ani niemieckiej, jest natomiast tylko kwestja wzmożenia tężyzny politycznej, społecznej i gospodarczej polskiego narodu".

Już nietylko powierzchowny dziennikarz, ale chyba nawet każde dziecko zrozumie, że przez takie ujęcie problemu — czego i teraz wcale nie cofamy — nie przeczymy bynajmniej istnieniu kwestji żydowskiej czy niemieckiej, czy jakiejkolwiek innej kwestji narodowościowej, ale że jako główny warunek skutecznego ich rozwiązania wysuwamy wzmożenie tężyzny Polaków, bez czego wszelkie ataki na Niemców i Żydów pozostaną pustym frazesem.

Gdzie tężyzna polska polityczna, społeczna i gospodarcza się objawi, tam Niemiec przycichnie, a Żyd wyniesie się niewątpliwie. Bo Żyd panoszy się tylko tam, gdzie mu słabość i niewyrobienie społeczeństwa rokuje widoki korzystnych interesów.

Co innego sprawa ruska, daleko więcej skomplikowana, w której, oprócz odpowiedniej tężyzny polskiej polityki, trzeba zastosować nadto pewną specjalną metodę, opartą na długiem doświadczeniu i głębszem przemyśleniu. Stąd sprawę ruską uważamy za „problem do rozwiązywania“, natomiast sprawy żydowską i niemiecką traktujemy tylko jako nieodłączną funkcję wzmożenia polskiej tężyzny narodowej.

Zresztą tym sprawom poświęciła poprzednio Nasza Przyszłość całe serje obszernych artykułów, a w danym wypadku chodziło tylko o krótkie, lapidarne zreasumowanie ostatecznego wniosku.

Otóż recenzent w „A. B. C.“ przeciął nożycami powyższą naszą tezę w połowie, opuszczając właśnie końcową część zdania: „...a jest natomiast tylko kwestja wzmożenia tężyzny politycznej, społecznej i gospodarczej polskiego narodu“. Po tak sprytniarskiem cięciu reporterskich nożyc został cały sens naszej tezy oczywiście skarykaturowany sztucznem zakończeniem, że niby nie uznajemy kwestji żydowskiej, ani niemieckiej.

Dopuściwszy się tej perfidji — która niestety stanowi stałą metodę prasy polskiej — dodaje recenzent z „A. B. C.“ z faryzeuszowskiem oburzeniem swoją patrjotyczno-pompatyczną uwagę: „I to pisze Polak!“.

No, gdyby którykolwiek Polak tylko tę część zdania wygłosił, którą recenzent z „A. B .C.“ raczył zamieścić, obciąwszy resztę, to istotnie byłby

złym Polakiem, albo durniem. Ale tak przykrojonego twierdzenia Nasza Przyszłość nie wygłosiła, więc zarzut i święte oburzenie recenzenta z „A. B. C." są nieistotne, aby jeszcze gorzej się nie wyrazić.

Oto metody współczesnego dziennikarstwa! I znowu zapytujemy: kto ciągnie z tego korzyść? W każdym razie nie prasa polska, a w szczególności nie „A. B. C.", przykrawające i przez to przekręcające sens cudzych twierdzeń. Zyskują na tem tylko nasi wrogowie, a przedewszystkiem mafje żydowsko-bolszewickie, które zacierają ręce z radości, że walcząca z niemi daleko integralniej i odważniej, niż inne polskie organy Nasza Przyszłość doznaje tak dotkliwej dywersji ze strony ultra-nacjonalistycznego dziennika. Większej przysługi nie mogło „A. B. C." oddać Żydom, których samo tak buńczucznie codzień atakuje, jak takiem spryciarskiem obcięciem naszej tezy i postawieniem nas niby pod pręgierz opinji publicznej. Czyż wszystkie głowy redakcyjne w „A. B. C." nie są w stanie zrozumieć, że przez taką taktykę pomniejszają w oczach ogółu, a zwłaszcza w oczach Żydów, szeregi frontu polskiego?

Gdyby te głowy w redakcji „A. B. C" były właśnie takie, jakie w obciętym przez recenzenta fragmencie naszej tezy mamy na myśli, t. j. politycznie i społecznie należycie wyrobione, to nietylko nie dopuszczałyby się na oczach Żydów i bolszewików — którzy Naszą Przyszłość z pewnością dokładniej od nich czytają — takich sztuczek spryciarskich, ale przeciwnie: zacytowawszy dokładnie, dodałyby od siebie pozytywny komentarz, jak należy tezę naszą rozumieć.

Na tej metodzie dziennikarskiej sprawa polska zyskałaby niewątpliwie. A czy zyskała w oczach

Żydów na tem, że jedno polskie wydawnictwo wyrządza drugiemu perfidnego psikusa?

Prawda, że do tak wysokiej metody, którą tu zalecamy, prasa polska, ogółem biorąc, jeszcze nie dorosła. Przyzwyczaiła się do psikusowatego, tępo partyjnego dokuczaina sobie nawzajem, do wątpliwych tryumfów, odnoszonych w oczach tramwajowej i kawiarnianej gawiedzi zapomocą metod o więcej, niż wątpliwej etyce. Ale może ta nasza uwaga skłoni jednego lub drugiego inteligentniejszego dziennikarza do pewnej refleksji na temat: Czy zgadza się z honorem dziennikarskiego zawodu i z korzyścią dla narodu metoda szkalowania rodaków na podstawach nieprawdziwych — na spryciarskiem wyrywaniu, obcinaniu i wykręcaniu zdań bliźniego i nadawaniu im przez to wręcz odmiennego sensu?

A teraz niech czytelnik sam sformułuje sobie w myśli, jakiem właściwem mianem nazwać należy takie postępowanie? Co do nas, to dopóki stosunki w prasie pod tym względem stanowczo się nie zmienią, podtrzymywać będziemy nasz zasadniczy sąd, sformułowany nie bez realnych podstaw w poprzednim tomie Naszej Przyszłości:

Współczesna polska gazeta jest to coś, czego porządny człowiek obawia się, aby nie zostać przez nie oszkalowanym, ale przed czem żadnego nie może czuć szacunku.

Sprawa ta — wzajemnej walki międzyprasowej w Polsce na podstawie nie prawdziwych różnic programowych, ale wzajemnego szkalowania się na podstawie różnic urojonych lub perfidnie przeciw sobie konstruowanych przez nieuczciwe obcinanie, preparowanie i przekręcanie cudzych słów i intencji, — ma inne jeszcze, niezmiernie szkodliwe dla

państwa, narodu i całej naszej cywilizacji znaczenie.

Wszak wiadomem być winno dziennikarstwu naszemu — i wie o tem zapewnie wielu — że międzynarodowe mafje żydowsko-masońsko-bolszewickie wszelkiego rodzaju mają w programie opanowanie prasy pod względem materjalnym i moralnym dla swych dalekosiężnych celów, które niestety nie są legendą, ale przeciwnie: realizowane są z nieznaną naszemu światu, planową, nieubłaganą konsekwencją. Wystarczy przejrzeć odnośne enuncjacje różnych organizacji żydowsko-komunistycznych choćby tylko z ostatnich lat kilkunastu, które cel ten z brutalną otwartością na jednem z pierwszych miejsc wymieniają i stwierdzają już nawet tryumfalnie, iż „cała prasa jest już w ręku Izraela, wojującego o supremację nad światem, a drobne wyjątki, na których jeszcze żydokomunizm nie położył swej ręki, nie wchodzą w rachubę“.

Głoszą to otwarcie i poufnie zarówno organizacje żydowsko-masońsko-komunistyczne zagranicą, poczynając od Ameryki i Anglii, jak i różne ekspozytury tych mafji w Polsce. A głoszą przytem i coś innego jeszcze, że mianowicie: „Jednym z naczelnych celów naszej akcji, prasowej i politycznej wogóle, jest rozbudzanie do możliwie najwyższego stopnia intryg i nienawiści międzypartyjnych, międzyklasowych i międzyprasowych wśród polskich gojów, którzy są dla nas pod tym względem środowiskiem wielce podatnem, bo to *naród poczciwy a głupi!*“.

To nie fantazja, panowie dziennikarze i publicyści, ale niestety najbardziej rzeczywista rzeczywistość, daleko bardziej realna, niż wszelkie

drobiazgowe spory, perypetje i aktualja bieżącej polityki, które tak nadmiernie, tak dziecinnie was absorbują, że w zarozumialstwie waszych drobnostkowych, efemerycznych „racji“ ślepi jesteście na prawdziwe, olbrzymie niebezpieczeństwo, które — obym był mylnym prorokiem! — może was pewnego pięknego poranku zrzucić z waszych tronów redakcyjnych zanim się spostrzeżecie.

Na tem tle, w takiej sytuacji, czy nie jesteście zdolni zrozumieć, panowie dziennikarze i publicyści, że zwalczając się nawzajem w dziki nieraz sposób i to na podstawie nie prawdziwych, ale złośliwie wzajemnie przeciw sobie nożycami redaktorskiemi preparowanych powodów, że obrzucaniem uczciwych Polaków insynuacjami wstecznictwa, nieprzyjaźni dla ludu, rzekomej zdrady sprawy narodowej i t. d. pracujecie w istocie na rzecz tryumfu konspiracji żydowsko-masońsko-komunistycznej?

A już czas, abyście to nareszcie pojęli. Przypomnijcie sobie naprzykład, kto wystąpił z pompatycznem oszczerstwem na łamach „Kurjera Porannego“ przeciw mnie z wiosną ubiegłego roku, zarzucając mi z niesłychaną perfidją „ohydną zdradę interesów Polski na rzecz Niemiec“? Zrobił to Wincenty Rzymowski, a powtórzyło to za nim bezmyślnie, istnym porykiem stada, niemniej jak siedemnaście polskich dzienników różnych odcieni. A szereg innych dzienników postąpił jeszcze gorzej, jeszcze niemoralniej — bo już z premedytacją — odmawiając zamieszczenia mojego sprostowania z faryzeuszowskim wykrętem, że „nie mogą tego uczynić, bo nie brały udziału w ataku i dlatego nie wypada im mieszać się do całej tej sprawy“.

Te same zaś atakujące lub perfidnie przemil-

czające gazety „odkryły“ w parę miesięcy potem, że tenże Wincenty Rzymowski jest komunistą, a obok tego pisarzem bez etyki, stosującym bezceremonjalnie system plagiatów w swoich wydawnictwach!

Ale nietylko radykał komunizujący Rzymowski był inicjatorem haniebnego na mnie ataku. Zaszczytną tę inicjatywę dzieli z nim ktoś inny, całkiem inny, stojący — zdawałoby się — na wprost przeciwnym krańcu społeczno-politycznego frontu: jeden z naczelnych publicystów w konserwatywnym „Czasie“!

A oto tenże publicysta, czy bliski mu kolega redakcyjny, wyjechał z końcem ubiegłego roku jako korespondent prasowy do Hiszpanji na stronę tamtejszego frontu czerwonego, skąd przesyła sprawozdania do stojących pod różnymi wpływami i znanych swego czasu ze skłonności prosowieckich „Wiadomości Literackich“!

Odsłania się tu więc niezgłębione bagno prasowe — prawdziwa Panama! Radykał komunizujący z jednej strony, konserwatysta z pod sztandaru „Czasu“ z drugiej strony rzucają się na niewygodnego im z różnych względów człowieka, walczącego z postępową bolszewizacją Polski i robią bardzo wygodną dla Kominternu dywersję, oskarżając tego człowieka o germanofilstwo i zdradę kraju na podstawie perfidnie przekręconego ustępu z jego antybolszewickiego artykułu. A inne gazety wtórują temu cielęcym porykiem — nie znając nawet owego artykułu — lub owijają się uroczyście w togę milczenia.

I proszę mi teraz powiedzieć, na podstawie tych faktów — nie urojonych, nie przekręconych,

ale niestety prawdziwych — czy prasa polska nie jest pod jakimś jawnym lub zakonspirowanym wpływem żydowsko-bolszewickim i czy jej etyka nie zaczyna wzorować się, świadomie lub podświadomie, na zasadach Talmudu? Czy międzynarodowe mafje żydowsko-masońsko-bolszewickie nie mają racji trąbić na tryumf, że „prawie cała prasa jest w naszem ręku, a drobne wyjątki nie wchodzą nawet w rachubę“?

Żelazną miotłą trzebaby zrobić porządek — i ten porządek musi zrobić zdecydowanym, bezwzględnym wysiłkiem Rząd i lepsza część polskiej opinji publicznej. A inicjatywa wyjść winna z tych właśnie nielicznych wyjątków prasy, które „nie wchodzą w rachubę“ dla mafji żydowsko-masońsko-komunistycznych i nie są od nich zależne. Może znajdą się w Polsce takie gazety, ale muszą to udowodnić nie krzykliwym programem drukowanym — bo, jak wiadomo, papier jest cierpliwy, a mafje żydowskie lubią inspirować w prasie gojów krzykliwe występy antysemickie, gdy im to jest na rękę — lecz czynem, a mianowicie: stanowczem zerwaniem z dotychczasową etyką dziennikarską a przyjęciem lepszych metod i obyczajów, głębiej przemyślanych dla prawdziwego dobra kraju.

Narazie prasa polska skompromitowała się kolosalnie i wykazała niezbicie, że — świadomie czy podświadomie — idzie po linji wrogiej dla kraju konspiracji. Nie posądzam oczywiście ogółu moich przeciwników dziennikarskich o premedytację — choć niektóre fakty dają jednak dużo do myślenia — ale tylko o bezgraniczną powierzchowność i lekkomyślność, które jednak mogą być niekiedy ciężkim występkiem i wcale nie licują z przykaza-

niem „obowiązku publicystycznego“, tak dumnie zawsze podkreślanego przez dziennikarzy.

A Nasza Przyszłość, ponieważ na szczęście nie jest pod żadnym wpływem, ani żydowskim, ani masońskim, ani komunistycznym, ani ziemiańsko-konserwatywnym, ani lewiatańskim i żaden kapitał — nawet bezinteresowne drobne wkładki i ofiary jej przyjaciół — nie ma na nią też najmniejszego wpływu, przyczyni się oczywiście do jak najenergiczniejszego zdemaskowania i oczyszczenia wyżej wspomnianego bagna. Rzecz warta największych przeciwności, trudów i zachodu. Bo chodzi przecież ni mniej, ni więcej, jak o pracę nad wzmocnieniem prawdziwej niepodległości państwa, której pierwszym warunkiem jest zdrowie i tężyzna narodu. A że prasa może mieć na to zdrowie i tężyznę wpływ olbrzymi, dodatni lub ujemny, więc oczyścić i ochronić należy prasę polską od niepożądanych wpływów. Pierwszym zaś warunkiem tej ochrony jest nałożenie sobie przez prasę polską odpowiedniego „kagańca przyzwoitości“, takiego właśnie, jaki nakładać sobie musi każdy człowiek kulturalny. Jeżeli człowiek kulturalny nie może żądać dla siebie bezbrzeżnej swobody plucia w pokoju na dywan lub innych podobnych „swobód“, tak i wolność słowa drukowanego nie może przekraczać granic przyzwoitości, etyki i kultury.

Twierdzimy stanowczo, że nadmierna swoboda prasy, tak zazdrośnie przez jej adeptów strzeżona, jest perfidnym wynalazkiem zakonspirowanych mafji, które to „uprawnienie“ dlatego prasie, sejmom i rządom tak mocno zasugerowały, aby stworzyć przedewszystkiem dla siebie nieograniczoną swobodę szerzenia wywrotowej lub conajmniej de-

moralizującej i rozsadzającej chrześcijańskie społeczeństwa propagandy.

Natrętnym nagabywaniom różnych prasowców o zapewnienie im „całkowitej swobody drukowanego słowa“ dał w czasie ostatniej sesji sejmowej Szef Rządu polskiego oczywiście łagodną, bardzo zrównoważoną w akcentach swych odpowiedź. Dał im nawet ogólne oświadczenie, że Rząd nie myśli oczywiście z całą prasą walczyć.

Oświadczenie oficjalne, a więc utrzymane w tonie i treści, mającej z tej strony słusznie za zadanie szerzyć atmosferę pokoju.

Ale te oficjalne względy wcale nie obowiązują nas — prywatnych publicystów. Nam wolno dobyć miecza, zwłaszcza, gdy zostaliśmy zaczepieni i gdy z absurdalnego, urojonego powodu tej zaczepki widzimy jasno, że to nie polska prasa sama przez się chciała nas utrącić, ale zakonspirowane mafje, których mało krytyczna prasa bywa nieraz zbyt powolnem lub wprost nieświadomem narzędziem.

Dlatego możemy sobie na to pozwolić i pójść znacznie dalej, niż to mógł uczynić w danych warunkach p. Premjer. Może będzie z nas niezadowolony, ale trudno — musimy i my spełniać nasz „obowiązek publicystyczny“, który coprawda całkiem inaczej rozumiemy, niż goniące wiecznie za sensacją i „poczytnością“ gazety.

Ale, demaskując bez pardonu niebezpieczne dla kraju bagno, uważamy za obowiązek sygnalizować i podkreślać także dobre objawy, mianowicie wysiłki w kierunku uzdrowienia prasy. Przytaczamy więc dosłownie doniosły apel Wydziału wykonawczego Związku Dziennikarzy R. P., rozesłany

12-go grudnia ub. r. do poszczególnych Syndykatów dziennikarskich:

Wydział wykonawczy Związku Dziennikarzy R. P. zwrócił uwagę, że w ostatnich czasach ton polemik prasowych stał się nadzwyczajnie ostry, przybierając często charakter osobistych wycieczek, a nawet napaści, zdarzały się przytem wypadki, że rzucano pod adresem poszczególnych jednostek zarzuty i oskarżenia, niedostatecznie uzasadnione i nie poparte przekonywującymi dowodami.

Wydział wykonawczy nie zamierza bynajmniej poddawać kontroli polemik prasowych, albo hamować ich rozpęd, którego żaden dziennikarz wyrzec się nie może. Wydział sądzi jednak, że obelżywy ton tych polemik i podnoszenie ciężkich oskarżeń bez należytego ich uzasadnienia, obniża kulturę dziennikarstwa, drażni opinję publiczną, staje się powodem gorszących przewodów sądowych.

Wobec tego Wydział zwraca się do zarządów Syndykatów z wezwaniem, aby w odpowiedni sposób wpłynęły na swoich członków, zalecając im więcej umiarkowania w polemikach prasowych, a jednocześnie, aby przypomniały zorganizowanym dziennikarzom, dotkniętym przez prasowe napaści, że jest ich nietylko prawem, ale także statutowym obowiązkiem zwracać się o obronę do swojej organizacji zawodowej, w szczególności do sądów dziennikarskich, gdzie ich sprawa będzie bezstronnie rozpatrzona i osądzona.

Wydział wykonawczy ma nadzieję, że zarządy Syndykatów udzielą swej współpracy w tej akcji, która ma jedynie na celu obronę godności zawodu dziennikarskiego.

Podpisy: Mieczysław Scieżyński, dr. Antoni Beaupré, Władysław Westerman, Witold Giełżyński, Medard Kozłowski, Natan Szwalbe, Władysław Dunin-Wąsowicz, Hieronim Wierzyński.

Oby apel ten okazał się szczerym i nie pozostał bez rezultatu!

Jan Bobrzyński.

ODPOWIEDŹ „CZASOWI“

Trudno — musimy się oganiać! Musimy tracić czas i papier na ustawiczne opędzanie się przed publicystyką, która języka polskiego, nawet prostego i lapidarnego, zrozumieć nie chce, czy nie może. Jest to dla nas oczywiście strata czasu, bo zamiast opędzania się przed taką publicystyką, po-wierzchowną, niby „zamerykanizowaną“, a właści-wie typowo „niegramotną“, wolelibyśmy stokroć więcej rozwijać i precyzować pozytywnie nasz pro-gram zadań państwowych, od sześciu lat z górą sto-pniowo, z możliwym dla człowieka objektywizmem budowany. Niestety, ciągle nam w tem przeszka-dzają i to zwłaszcza ludzie, którzy widocznie... czy-tać nie umieją. Choroba czasu!

Otóż tedy, niby w odpowiedzi na nasz doro-bek programowy, ideowy i faktyczny, ogłoszony w poprzednim tonie Naszej Przyszłości chyba aż nadto obszernie, dokładnie i mocno na czterdziestu dwóch stronicach druku, gdzie — znając nowocze-sną niegramotność powojennego społeczeństwa — staramy się każdą naszą tezę podawać czytelnikom jak na łopacie, zamieścił „Czas“ w N-rze z 5-go listopada następujący artykuł, który dla wiadomo-ści resp. przypomnienia naszym Czytelnikom naj-pierw w najważniejszych ustępach cytujemy.

STAŃCZYCY?

Ostatni numer „Naszej Przyszłości", czasopisma, redagowanego przez dr. Jana Bobrzyńskiego, przynosi oświadczenie grupy osób, skupionych przy redakcji i tworzących zalegalizowany „Związek Polskiej Myśli Pań-

stwowej". Z artykułu „Z otwartą przyłbicą" dowiadujemy się, że Związek postanowił odsłonić zamkniętą dotychczas przyłbicę i stwierdzić, że uważa się za kontynuatora dawnej szkoły historycznej krakowskiej, godnego imienia „Stańczyków". W artykule następnym o „Dorobku programowym" mamy ustalone pewne idee i tezy Związku.

„Naszą Przyszłością" zajął się „Czas" dotychczas raz tylko jeden, gdy musieliśmy się od niej odciąć stanowczo w formie, przyznajemy, dość ostrej. Byliśmy do tego zmuszeni, bo dr. Bobrzyński popełnił błąd zasadniczy, a opinja uważała „Naszą Przyszłość" za jeżeli nie organ, to w każdym razie coś bardzo silnie związanego z ruchem zachowawczym; zresztą cała prasa polska zajęła wówczas zgodne stanowisko.

Lecz dziś Związek myśli państwowej występuje z pewną uroczystą enuncjacją, której trzeba parę uwag poświęcić.

Panowie ze Związku Polskiej Myśli Państwowej mienią siebie „bezpośrednimi kontynuatorami stańczykowskiej idei i szkoły", stwierdzają, „że prawdziwy duch stańczykowski ujawnił się wśród nich w całej pełni".

Ponieważ Związek absolutnie nie uważa się za stronictwo i jest przeciwnikiem wszelkich programów, więc twierdzi, że jest zrzeszeniem specjalnem, powołanem do opracowania i realizacji szeregu konkretnych zadań państwowych a zamiast programu ogłasza dorobek programowy. Konia z rzędem temu, kto się w tej subtelności wyzna; na nasz rozum, jeżeli grono ludzi skupia się wokół jakichś myśli politycznych i chce je propagować w słowie i piśmie, to choćby nie wiem jak chciało się wyprzeć miana stronnictwa i program nazwało dorobkiem, jest i będzie stronnictwem o programie politycznym. Niewiele jest zasadniczych kierunków myśli politycznej na świecie, jest ma się rozumieć niezliczona ilość partji i partyjek, stronnictw i przyczepek do nich, ale zasadniczych kierunków tylko trzy i czy jakie ugrupowanie polityczne tego chce, czy nie chce, opinja publiczna, zapoznawszy się z danym tworem, segreguje go tam, gdzie należy. I jeżeli „Nasza Przyszłość" zwalcza etatyzm, fiskalizm, biurokratyzm i wszelką demagogję, a broni zasad religji katolickiej, prawa własności prywatnej, ustroju rodzinnego i zasad gospodarki prywatno-kapitalistycznej, to trudno i darmo i „Nasza Przyszłość" i „Związek myśli państwowej" zostaną uznani za pismo i za ugrupowanie konserwatywne. I właśnie dlatego, że my również za taki organ siebie uważamy, musieliśmy zabrać głos.

I tak:

1) Uważamy za błąd zasadniczy nieuznawanie ukrainizmu, a za mrzonkę chęć „odrodzenia typu historycznego Rusina". Nie chcemy być specjalnie złośliwi, ale nie możemy powstrzymać się od stwierdzenia faktu, że przy zasadzie ukrainizmu twardo i bez żadnych kompromisów stała właśnie szkoła krakowska, a ś. p. Michałowi Bobrzyńskiemu za wprowadzenie tej zasady w życie nie oszczędzono ataków.

2) Błędne jest twierdzenie, że poza kwestją ukraińską „niema w Polsce żadnej innej kwestji mniejszościowej, a więc ani żydowskiej, ani niemieckiej". Rzeczywistość mówi coś wręcz przeciwnego, szczególnie jeśli chodzi o kwestję żydowską, a niespostrzeganie jej graniczy z polityką strusią chowania głowy w piasek.

3) Jeżeli się chce mieć Polskę narodowościową, „mocarstwem o troistym herbie w jego dawnych granicach geopolitycznych", to trzeba ten program stawiać uczciwie, równi z równymi, ale nie można wówczas zgóry przeznaczać nas na naród przewodni, bo w języku codziennym, a takim tamte dwa narody na ten temat rozmawiać tylko będą, oznacza to supremację Polski nad nimi.

4) Jak można pogodzić wspólną granicę z Węgrami z przynależnością Czech do bloku środkowo-zachodniej Europy, w którym my znów mamy być „primus inter pares", tego my absolutnie zrozumieć nie możemy, ale z wytłumaczenia raczej zrezygnować wolimy.

Wielkich założycieli i członków szkoły krakowskiej przezywano stańczykami; byli oni zachowawcami najczystszej wody, ale ani jednemu z nich nigdy do głowy nie przyszło, aby się tej przynależności wypierać, już nie mówiąc, od niej odżegnywać. Dziś ci, którzy poczuli się ich kontynuatorami, uważają za wskazane uczynić to z całym naciskiem na samym wstępie. To chcemy stwierdzić.

W oświadczeniu tem uderza przedewszystkiem ustęp, wymieniony pod 2), jako niezmiernie typowy przykład opisanej w poprzednim artykule niniejszego tomu dziennikarskiej metody dowolnego obcinania zdań cudzych bezkrytycznemi lub złośliwemi nożycami reporterskiemi, przez co myśl krytykowanego przez daną gazetę autora kompletnie zostaje wypaczona. A więc przez takie, mam nadzieję, że tylko bezmyślne obcięcie wkłada nam „Czas" gwałtem w usta, jakobyśmy nie uznawali kwestji niemieckiej, ani żydowskiej w Polsce. Nie cytuje krótkiej reszty naszej tezy, że „jest natomiast tylko kwestja wzmożenia tężyzny politycznej, społecznej i gospodarczej polskiego narodu" — co oczywiście sens całej sprawy zupełnie zmienia. Bo z dodatkiem tej opuszczonej części zdania staje się jasnem dla każdego, choćby nieco inteligentniejszego czytelnika, że owszem kwestję żydowską i niemiecką aż nadto uznajemy, ale ich załatwianie widzimy przdewszystkiem w odpowiedniem wzmożeniu się tężyzny Polaków w każdym kierunku.

I tu ciekawy przytoczyć możemy szczegół. W pierwotnym tekście naszej enuncjacji był dodany do tej tezy odpowiedni komentarz. Gdy jednak autor tezy odczytał go na zebraniu zarządu Związku Polskiej Myśli Państwowej, to zarząd prawie jednomyślnie uznał za wskazane wypuszczenie tego komentarza, motywując to koniecznością odpowiednich skrótów w i tak już obszernej enuncjacji, zwłaszcza, że „sens tezy jest przecież dostatecznie wyraźny, a zasięg czytelników „Naszej Przyszłości“ obejmuje ludzi przeważnie dostatecznie wykształconych, dla których więc nie trzeba obszernych komentarzy, jak dla ludu“.

Niestety, omyliliśmy się w tem wysokiem mniemaniu o poziomie intelektualnym niektórych naszych czytelników, a już zgoła nie przewidzieliśmy smutnej rzeczywistości, że nawet „Czas“ stosuje metodę obcinania zdań i sensu w połowie i konstruowania na takiej podstawie zarzutów o „strusiej polityce“ i „chowaniu głowy w piasek“! Ejże, panowie z „Czasu“! Już kto, jak kto, ale „Nasza Przyszłość“ głowy w piasek nie chowa i sprawę żydowską aż nadto dobrze widzi, nawet tam, gdzie jej się nikt przeciętny nie domyśla. Powołujemy się na wydaną przez nas niedawno obszerną broszurę p. t. „Bolszewicka prawda“, gdzie sprawa żydowska jest tak mocno i lapidarnie postawiona, jak tego chyba nikt dotąd w Polsce nie śmiał uczynić. A jeżeli koniecznie ma być mowa o strusiej polityce, to może już raczej.... no, ale mniejsza z tem!

Drugie ostrze usiłuje nam wsadzić warszawski „Czas“ pod piąte żebro przypomnieniem, że ś. p. Michał Bobrzyński był obrońcą z polskiej strony ruchu ukraińskiego przeciwko ruskim moskalofilom i idącej z nimi w parze polskiej endecji. Cios sta=

nowczo chybiony, bo kiedyż to było, w jakich wa=runkach i stosunkach? Przyzna może bezimienny autor powyższego artykułu w „Czasie“, że od owej epoki coś niecoś się zmieniło. Nieprawda? Może z punktu widzenia szanownego autora artykułu zmieniło się bardzo niewiele — drobnostka, bo tyl=ko powstała niepodległa Polska i bolszewicka Ro=sja. My jednak ośmielamy się być nieco odmienne=go zdania, twierdząc, że wywróciło się wszystko od owej epoki do góry nogami i że sprawa „ukraiń=ska“ ma dla wskrzeszonej Polski całkiem inne zna=czenie, niż dla ówczesnej Galicji. I dlatego całkiem inną musi być dzisiaj nasza koncepcja w niezmier=nie trudnym problemie narodu ruskiego, sięgające=go siedzibą swą prawie do okolic Kaukazu.

A zmiana dwugłowego orła rosyjskiego na czerwony sztandar sierpa i młota to nic? Zdaje nam się, że to także coś i że wobec tego zawsze dobre i słuszne metody starej szkoły historycznej, liczącej się zawsze z rzeczywistością, muszą jednak z nie=zbędną elastycznością i logiką dostosować się do faktów i wymagań nowej historji.

Trzecie ostrze, też chybione, o którem tutaj tylko krótko, bo rozprawiliśmy się z niem dosta=tecznie w poprzedzającym artykule: „dr. Bobrzyń=ski popełnił błąd zasadniczy“.... „zresztą cała prasa polska zajęła wówczas zgodne stanowisko“.

O czem tu mowa? O prostem oszczerstwie, którego dopuścił się zdemaskowany dzisiaj już do=sadnie Wincenty Rzymowski w „Kurjerze Poran=nym“ i wasz „Grabiec“ na podstawie perfidnego przekręcania i obcięcia sensu w jakimś ustępie antybolszewickiego artykułu d=ra Bobrzyńskiego, co powtórzyła bezkrytycznie pewna ilość dzienni=ków? Czyż i panowie z „Czasu“ tak mało macie

rozeznania i tak absolutnie nie znacie „Naszej Przyszłości“, żeby na serjo wierzyć, że dr. Bobrzyński oddaje publicznie Polskę w posiadanie Niemcom?!!!

Czy szał was ogarnął, że podobne brednie i dziś jeszcze powtarzacie! W wyborze między Bobrzyńskim a Rzymowskim wybraliście Rzymowskiego. Gratulujemy!

Ale w tym właśnie ciekawym symptomie waszej politycznej mentalności szukajcie, między innemi przyczynami, odpowiedzi na ostatni ustęp waszego artykułu, w którym stawiacie nam z wyrzutem przed oczy, że wielcy założyciele krakowskiej szkoły nie zapierali się nigdy swego konserwatyzmu. Oczywiście, nie zapierali się go, bo mogli być z niego dumni. Ich konserwatyzm zaznaczył się potężnie i samodzielnie na kartach historji. Przed nim dziś jeszcze każdy musi schylić głowę, nawet socjalista. Ten konserwatyzm coś zrobił, coś zdziałał, sam z siebie, własną mocą, nieraz wśród gradu kamieni. Jemu dzisiejsza Polska ogromnie wiele zawdzięcza, daleko więcej, niż to się dzisiaj narazie przyznaje.

No, a konserwatyzm współczesny, pomajowy? Gdzież są te Okopy św. Trójcy, na których moglibyśmy z wami razem walczyć — zwyciężyć lub zginąć? Wskażcie nam te okopy, a pójdziemy, choćby na zatracenie!

Ale niestety, wy nam tych Okopów nie wskażecie, boście zupełnie zatracili do nich drogę. Grzeczny referat w sejmie, albo aktualistyczna, bezpragmatyczna dyskusja nad „bieżącą sytuacją polityczną“, albo „bunt młodych“ niewiadom o co, ani przeciw komu, a pozatem generalny marazm i niesłychany materjalizm ziemiaństwa na ruinach ich zamków i dworów, czemu planową, zbiorową, ener-

giczną, odważną akcja nie umiano zapobiec — to wszystko przecież nie zachęca do opowiedzenia się po waszej stronie. A strach wasz przed wszelakimi nowymi prądami i przed wszelakimi kaprysami ra=dykalnego „postępu“, ów strach klasyczny przed „sądem wnuków“, który was tak paraliżuje i po=wstrzymuje przed zdecydowanem huknięciem pię=ścią w stół wobec bolszewizujących absurdów? Wszak najwięcej argumentów za żydowsko=bolsze=wicką ideą przymusowego wywłaszczania słysze=liśmy w ciągu lat ostatnich właśnie od was, zwłasz=cza od waszych wybitnych polityków i ekonomi=stów!

Niech więc was nie dziwi, panowie z „Czasu“, że niektórzy odżegnywują się od dzisiejszego kon=serwatyzmu. Jak ginąć, to ginąć, ale — do djabła — nie w ciepłej wodzie!

A dalej — niech nikogo nie dziwi, że tak do=kładnie, jak na łopacie, analizujemy niezmiernie typowy artykuł „Czasu“ — żąda od nas „Czas“ w punkcie 3), abyśmy stawiali nasz program „mo=carstwa o troistym herbie“ w sposób uczciwy (?!), obniżając rolę Polaków pod sznur do poziomu in=nych narodowości, jako „równi z równymi“. Hej, panowie z „Czasu“, minęły już romantyczne dzie=je polskiej słabości, kiedy to niezdecydowani, peł=ni lęku generałowie polscy z 1830 roku, dysponu=jąc wspaniałą armją, kazali jej rzucać na pobojowi=sku donkiszockie płachty z napisem „za naszą i waszą wolność“, zamiast walić w Moskala, jak w bęben! Polak stał się od tych mniejwięcej czasów — małpując naiwnie wszelakie nowinki zachodnie — Donkiszotem i „papugą“ narodów. Widać to wy=raźnie po waszem „uczciwem“ żądaniu. A więc wszystkie, spiskujące otwarcie przeciw Polsce me=

chesy, „Ukraińcy“ oraz kowieńscy, niemieccy, czescy, rosyjscy i inni obywatele-wrogowie, rozzuchwaleni chwiejnością polskiej polityki i słowiańską miękkością polskiego społeczeństwa, mają być nam w Polsce absolutnie równi, nawet pod względem „przewodnictwa“ w sprawie losów państwa? Ładnie wychodziliśmy dotąd na tej kobiecej ideologji i jeszcze piękniej wyszlibyśmy na niej w przyszłości, gdyby rządy Polski dostały się w ręce romantycznych humanitarystów z „Czasu“!

Rzecz wiadoma i dowiedziona w życiu publicznem i prywatnem, że kto chce cośkolwiek przeprowadzić, musi ludzi „chwycić za mordę“ — jeżeli mamy użyć „uczciwie“ i wyraźnie nowoczesnego zwrotu. Kłanianie się do ziemi Rusinom, Żydom, Litwinom, Niemcom, Moskalom, a nawet sztuczne fabrykowanie dla Polski jakiegoś „Białorusina“ jest wprawdzie taktyką niesłychanie nabożną, wzorową — Politik eines polnischen Musterkindes — ale narazi nas na śmiech i drwiny całego świata, a zwłaszcza wyżej wymienionych mniejszości narodowych. Ewangelicznie biorąc, „Czas“ będzie miał rację, ale praktycznie powtórzy się tragedja ponownego rozbioru Polski.

To pewne, jak amen w pacierzu.

I dlatego my, ciągnąc po stańczykowsku doświadczenie z twardej nauki dziejów, nie chcemy wprawdzie żadnego „Fuehrera“ w Polsce, ale twierdzimy stanowczo, że w naszym bałaganie wielonarodowościowym niezbędny jest jakiś „fuehrendes Volk“ — gdyż bez tego pierwszy lepszy Icek, undowiec lub jakieś zakonspirowane mafje zdobędą w państwie wpływy i rządzić zaczną Polską w rzeczywistości „obce agentury“.

Zarzutu pod 4) wyjaśniać nie będziemy, bo musielibyśmy sporządzić dla Redakcji „Czasu“ nowe wydanie conajmniej kilkunastu poprzednich tomów Naszej Przyszłości, gdzie sprawa bloku środkowo-wschodniej Europy (autor z „Czasu“ mówi oczywiście błędnie „środkowo-zachodniej“!) została opracowana i sprecyzowana coraz dokładniej w długiej serji obszernych artykułów. Ale rzecz wiadoma, że nowoczesny dziennikarz — nawet konserwatywny — niczego na serjo nie czyta, a dokładne poinformowanie się o sprawach, które porusza, uważa za rzecz poniżej swej godności. Dlatego na ten punkt możemy „Czasowi“ odpowiedzieć tylko: Czytaj Naszą Przyszłość dokładnie, a jeżeli nie, to o niej nie pisz!

Wreszcie punkt ostatni: „Czas“ nie może zrozumieć naszej rzekomej „subtelności“, że mamy pewien program działania, a mimo to nie jesteśmy stronnictwem. Twierdzi „Czas“, że tej kombinacji jego rozum nie może pojąć.

Tak, istotnie! To rzeczywiście za wysokie pojęcie na zrutynizowany w aktualjach partyjno-politycznych mózg warszawskiego „Czasu“. Dawny „Czas“ krakowski — ten ze swej świetnej epoki — byłby to odrazu zrozumiał. No, ale w dzisiejszych warunkach jesteśmy na takie niezrozumienia wyrozumiali. Nasza myśl, akcja, metody i cele są istotnie nie zbyt wysokie dla „gazet po kioskach“.

Radzimy więc tylko szanownemu autorowi z „Czasu“ przeczytać (tak jest, niestety: przeczytać!) krótką a znakomitą rozprawę prof. Estreichera o stronnictwach politycznych. Dowiedziałby się z niej, że „stronnictwo polityczne jest to zespół ludzi, dążących do władzy, aby przez nią zrealizować swój program“. Otóż my nie dążymy do władzy —

do stanowisk, mandatów i zaszczytów. A przytem nie mamy żadnego wypunktowanego od a do z programu, lecz tylko pewne kolejne zadania z różnych dziedzin, które staramy się przefiltrować w opinję publiczną i zaktywizować w tych kierunkach coraz szersze sfery społeczeństwa.

Przedewszystkiem zaś chodzi nam o dokładne zgłębienie i sprecyzowanie tych pewnych problemów. Ale niech je wykonają inni, politycy, obdarzeni mandatami i zaszczytami i „dążący do władzy". My dlatego do władzy nie dążymy z zasady, że — przypuściwszy na chwilę nieprawdopodobieństwo, żeby ktoś z nas miał otrzymać jakieś oficjalne stanowisko — byłby natychmiast skrępowany w działaniu tysiącem względów i względzików oportunistyczno-kompromisowych i musiałby wystąpić stanowczo z naszego grona.

Bo my jesteśmy „szkołą", jakkolwiek nietylko teoretyczne, ale i bardzo praktyczne cele mamy na oku. A że tego nasz krytyk z łamów „Czasu" zrozumieć nie może i ofiaruje za wyjaśnienie „konia z rzędem", na to nic mu poradzić nie możemy. To istotnie za trudny temat dla dzisiejszego „Czasu". Niech lepiej zajmuje się w dalszym ciągu „bieżącą sytuacją polityczną"!

Ale — może się mylimy — odnosimy wrażenie z pewnych zwrotów tego artykułu, że autor z żywą satysfakcją chciałby nas „przykuć do rydwanu" nowoczesnego obozu konserwatywnego. Bo gwałtem udowadniania nam, że jesteśmy jednak „partją konserwatywną".

Nichts draus — szanowny panie! Najpierw, kontakt z jakąkolwiek partją byłby dla nas równoznaczny ze skrępowaniem nam rąk i nóg i zaknebłowaniem ust. Musielibyśmy odgrywać rolę „wor-

ków posiedzeniowych“, wysłuchujących grzecznie i dokładnie „wybitnych przemówień wybitnych ludzi w wybitnem gronie“, skazani na wieczne milczenie w oczekiwaniu z roku na rok jakiejś „rozgrywki“, jak żydzi na przyjście Mesjasza. A tego niejeden z nas, który brał dawniej udział w życiu partyjnem, ma dość, zupełnie dość! My chcemy coś robić, choćby skromnie, niewiele, ale zawsze coś robić. I nienawidzimy organicznie „dyskusji nad bieżącą sytuacją polityczną“, z której nigdy nic nie wychodzi i wyjść nie może.

A przytem, zaprawieni długiem doświadczeniem własnem i przodków naszych w ideologji, nie mamy i nie mieliśmy nigdy ani przez jedną sekundę słabości porozumiewania się z endecją, jawną, czy ukrytą. Wszak już sześć lat temu pozwoliła sobie Nasza Przyszłość na paradoks, że z dwóch nieprawdopodobieństw prędzej jeszcze znalazłby p. Stroński ścieżkę do Belwederu, niż do nas!

No i zresztą u nas niema żadnych Seitenszprungów, jak to bywa z reguły w różnych partjach. Gdyby np. ktoś ze współautorów Naszej Przyszłości, członek Związku Polskiej Myśli Państwowej, chciał zamieszczać u nas artykuły p. Grabskiego lub pisać korespondencje z czerwonego madryckiego frontu do pism ultra-liberalnych, to wyleciałby z miejsca, jak z procy, choćby był najbliższym naszym przyjacielem, najwpływowszym człowiekiem i najwydatniejsze płacił wkładki.

Tacy już jesteśmy.

Jeden ze „Stańczyków“.

DZIĘKUJCIE BOGU, ŻEŚCIE...

List do redakcji w sprawie prasowej,

Od jednego z naszych bardzo poważnych prenumeratorów, czytającego Naszą Przyszłość dokładnie od początku jej istnienia, otrzymaliśmy tuż przed oddaniem do druku niniejszego tomu następujący list, który — z całkowitej, niespodziewanej dla nas inicjatywy autora napisany — zbiega się przypadkowo z naszą aktualną akcją w sprawie umoralnienia metod i obyczajów publicystyki dziennikarskiej.

Dlatego charakterystyczny ten głos zamieszczamy niniejszem in extenso z podpisem takim, na jaki autor listu zezwala.

Szanowna Redakcjo!

Winszuję Panom odwagi, żeście się porwali na walkę z całą prasą! Niezmiernie trudne wzięliście na barki zadanie, bo naprawa różnych obyczajów dziennikarstwa jest równoznaczną z naprawą głęboko zakorzenionych obyczajów całego społeczeństwa, którego różne warstwy poszczególne gazety reprezentują.

Winszuję Wam, ale oczywiście nie zazdroszczę. Poruszacie gniazdo osie!

Rozumiem wasz cel, ale rozumiem także i bezpośrednią przyczynę, która dała Panom asumpt do podjęcia tak niezwykłej akcji. Było to oszczerstwo, rzucone na Naszą Przyszłość pół roku temu przez różne gazety o rzekome germanofilstwo i różne in=

ne z tego wysnute „okropności“. Zdaje mi się też, że od początku zrozumiałem, iż chodziło tym gaze= tom chyba o coś całkiem innego, gdyż — przeczy= tawszy raz jeszcze inkryminowany przez nie ustęp w artykule p. dra Jana Bobrzyńskiego p. t. „Walka ze światem Marksa“ — nietylko nic germanofilskie= go w tym ustępie nie spostrzegłem, ale wprost prze= ciwnie: ustęp ten ma wyraźną tendencję antynie= miecką. Już to my, Wielkopolanie, dobrze rozumie= my się na tem, co jest proniemieckiem, a co anty= niemieckiem!

Jestem więc przekonany, że zręczne przenico= wanie antyniemieckiego sensu owego ustępu na proniemiecki i — co więcej — wysnucie z tego aktu oskarżenia o jakąś „zdradę kraju“, czy coś podob= nego, było bezwzględnie zamaskowaniem całkiem innych powodów owego prasowego na Was ataku. Zdaje mi się, o ile osądzić mogę, że różni przeciw= nicy Wasi ze skrajnej lewicy społecznej chcieli w ten sposób sparaliżować w opinji publicznej Wa= sze zdecydowane wystąpienie przeciw zalewowi Polski przez doktrynę Marksa, czego właśnie wspo= mniany artykuł był znakomitym wyrazem. Już na= zwisko Wincentego Rzymowskiego, który pierwszy Was zaatakował, a który wnet potem zdemaskowa= ny został jako komunista, czy przynajmniej filoko= munista, dało mi do myślenia. Powtórzyły za nim niektóre inne gazety, wśród nich i pewne nasze poznańskie, które, jak później miałem sposobność stwierdzić, wcale Naszej Przyszłości nawet nie zna= ją. Podchwyciły więc tylko bezmyślnie sensacyjną wiadomość z warszawskiej gazety, nie zadając so= bie trudu sprawdzenia istoty rzeczy.

Dziwi mnie tylko, że „Czas“ poszedł na tenże sam lep bolszewizującej intrygi. Czytuję też ten

dziennik od paru lat i sądziłem, że przed atakiem na osobę p. dra Bobrzyńskiego lepiej rzecz rozważy.

Ale co w tem wszystkiem — i zresztą w wielu innych wypadkach — mnie uderzyło, to charakterystyczny sposób, jakiego często używa nasza prasa w polemice. Sygnalizuję to Szanownym Panom, bo może przyda się Wam to w podjętej kampanji.

Znana jest Panom może dowcipna anegdota o reporterze prasowym, który miał za zadanie podać wiadomość swemu dziennikowi o powitaniu grona uczestników jakiejś dłuższej wycieczki morskiej. Przyjaciel, witający ich na brzegu, roztworzył serdecznie ramiona z okrzykiem: „Dziękujcie Bogu, żeście bałwany morskie szczęśliwie przepłynęli!“ Reporter podchwycił w prędkości tylko cztery pierwsze słowa i opuszczając resztę zdania, zamieścił nazajutrz w gazecie następujące powitanie: „Dziękujcie Bogu, żeście bałwany!“

Wynikła stąd oczywiście straszna obraza i różne nieprzyjemności dla witającego i dla redakcji gazety.

Otóż w Waszym wypadku postąpiła prasa dokładnie w ten sposób, opuszczając — zdaje się, że z rozmyślną złośliwością — najważniejsze zdanie w inkryminowanym ustępie, że mianowicie w razie ataku na Polskę „zdławiliby się Niemcy śmiertelnie polskim kęsem“. A to przecież zmienia zupełnie sens całego, wytoczonego Wam oskarżenia i czyni je nieistotnem.

I wogóle w polemikach międzyprasowych spostrzegam bardzo często taką, wprost nieuczciwą taktykę. Uważam ją pozatem dla sprawy krajowej i dla honoru dziennikarstwa krajowego niezmiernie szkodliwą, gdyż publiczność, czytając różne gazety z podobnie skonstruowanymi wzajemnymi wypada-

mi, dochodzić musi mimowoli do błędnego przekonania, że we wszystkich naszych pismach perjodycznych chyba same nieciekawe figury siedzą! A opinję taką urabiają sobie nawzajem dzienniki właśnie owem złośliwem lub bezkrytycznem obcinaniem przytaczanych zdań cudzych, co ich sens i tendencję oczywiście całkiem zmienia.

Dlatego też bardzo pochwalam taktykę Naszej Przyszłości, która, polemizując z cudzym artykułem lub inną enuncjacją, ma zwyczaj przytoczyć je w całości i dopiero potem zająć wobec nich stanowisko. Czytelnik wie przynajmniej dokładnie, z czem i dlaczego Nasza Przyszłość polemizuje.

Oczywiście, niepodobna żądać od dzienników, aby cały artykuł przeciwnika za każdym razem przytaczały, ale niechże przynajmniej przytoczą uczciwie cały ustęp lub zdanie, które chcą atakować. Inaczej kampanja prasowa zamienia się w prostą łobuzerkę i w błąd wprowadza czytelnika. A to przecież nie może być celem i chwałą polemiki prasowej, nawet najbardziej zaciętej!

W nadziei, że powyższe uwagi przyczynią się w czemkolwiek do akcji Szanownych Panów, łączę uprzejme ukłony i wyrazy szacunku.

X. Y. z Wielkopolski.

Rzecz dziwna, jak powyższy list zgadza się z tem, cośmy poprzednio w tym tomie zamieścili, o czem autor listu nie mógł wiedzieć, jak i my nie znaliśmy jego myśli, skoro list nadszedł dopiero w czasie druku niniejszego numeru pisma. Widać z tego, że jednak niemoralna metoda polemiki prasowej na podstawie dowolnego obcinania w połowie cudzych zdań daje się już powszechnie odczuwać jak plaga egipska.

UMIZGI „FUZJI KONSERWATYWNEJ"

ODKĄD właśnie cztery lata temu stronnictwo zachowawcze w Polsce, powstałe po przewrocie majowym nie bez znacznego udziału chwiejnych elementów endekoidalnych i bezideowo-oportunistycznych, zfuzjonowały się w „jednolitą" organizację zachowawczą (a raczej lewjatanowsko-zachowawczą), krusząc, depcząc, niszcząc z namiętną zawiścią jedyną wśród nich prawdziwie konserwatywną i przez pokolenia wypróbowaną organizację „Prawicę Narodową", kontynuującą tradycje dawnej krakowskiej szkoły historycznej i politycznej — jasnem się stało dla każdego znawcy odnośnych sfer i stosunków, że konserwatyzm polski musi zejść na bezdroża, jako pozbawiony naturalnego przewodnictwa.

Ale nie przypuszczaliśmy, że zatraci ta „fuzyjna organizacja" tak szybko i tak dalece wszelką myśl polityczną, samopoczucie swej racji stanu i poprostu godność własną, a wreszcie i zdrowy rozsądek i zrozumienie rzeczywistości, iż zacznie żebrać u wrót swych zasadniczych, największych przeciwników i poniżać się wobec nich dziecinnemi propozycjami.

Oto dochodzą nas raz po raz z gazet i z innych źródeł niewątpliwe już wiadomości, że nowy obóz zachowawczy antyszambruje u endecji i kłaniając się jej w pas, proponuje z dziecięcą naiwnością fuzjonowanie się z nią w „jednolity obóz narodowy".

Gdyby organizacja, długoletnie doświadczenie i zahartowana w bojach politycznych tradycja Prawicy Narodowej — t. j. szkoły krakowskiej — w obozie konserwatywnym po dziś dzień istniała, to byłaby bez żadnej wątpliwości powstrzymała ogół tego obozu przed taką kompromitacją i poniżeniem. Bo jakąż odpowiedź otrzymali — i jakąż mogli w danych warunkach wogóle otrzymać — niefortunni petenci konserwatywni ze strony endecji?

Otrzymali... kopniaka — no tak, oczywiście kopniaka! Cóż bowiem może zależeć szeroko rozgałęzionemu stronnictwu „narodowemu" na ginącej z anemji ideowo-programowej, nielicznej grupie zachowawców? Odpowiedzieli endecy słusznie ze swego punktu widzenia, że kto chce z nimi wspólny front tworzyć, ten niech poprostu wstąpi do ich organizacji. Jasne i proste — nieprawdaż?

Wprost pojąć trudno ten, aż tak daleko posunięty, kompletny zanik już nietylko własnego steru i myśli politycznej, ale choćby tylko trzeźwego poczucia rzeczywistości u pp. fuzjonistów konserwatywnych!! Już sama idea sztucznej, technicznej fuzji różnych grup zachowawczych w Polsce, wyrosłych na pewnym lokalnym, naturalnym gruncie — co jest zawsze warunkiem bytu i zdrowego rozwoju wszelkiej myśli konserwatywnej — była zupełnie błędną, gdyż wprowadzała w życie konserwatywnie demagogiczny pierwiastek ilości na miejsce elitarnego pierwiastka jakości. Zacietrzewieni „fuzyjnicy" łudzili siebie i innych mirażem, że w świecie myśli konserwatywnej kilka liczb, do siebie dodanych, da odpowiednią sumę — zupełnie tak, jak to ma miejsce przy fuzjach lub konszachtach wyborczych między masowemi organizacjami ludowemi. I w tym

właśnie rachunku kapitalnie się pomylili. Bo rdzenna myśl konserwatywna żyje i działa zawsze tylko pewną swą specyficzną jakością, a przenigdy ilością. Wszelka matematyka, a zwłaszcza fizyka eksperymentalna zupełnie w niej zawodzi.

O tej prostej, bezspornej prawdzie powinni byli wiedzieć zacietrzewieni autorzy bezkrytycznego fuzjonizmu wszechkonserwatywnego. Ale zapomnieli o tem, czy nawet chcieli zapomnieć, czego dowodem uparta zaciekłość, z jaką zniszczono przed czterema laty krakowską Prawicę Narodową — ku niezmiernej uciesze endecji i wszystkich żywiołów demagogicznych w państwie, które doskonale rozumiały, że w świecie konserwatywnym jedynie tylko wypróbowana myśl i metoda polityczna tej szkoły może stanowić czynnik trwałości i odporu, gdy tymczasem pobieżnie sklecone, oportunistyczne twory pomajowe, zachowawczo-ziemiańsko-lewiatanowskie, nie przedstawiają żadnego na serjo momentu stałości i trwałości.

Tak się też stało. Oportunizm konserwatywno-materjalistyczny „sfuzjonowanego" obozu neozachowawczego zgrał się w krótkim czasie do nitki. Właściwie obóz ten już nie istnieje, biorąc rzecz realnie. Parę osób jeszcze utrzymuje się — czy są dla pozoru podtrzymywane — mniej więcej bezwładnie na powierzchni fluktów politycznych: rari nantes in gurgite vasto. Kilku młodszych ludzi, bez głębszych przekonań, a tylko z nadmiernemi ambicjami osobistemi, występuje tu i tam z jakimiś sensacyjnymi lub pseudo-zachowawczymi a sprzecznymi między sobą artykułami, rozbijając się bezideowo między nacjonalizmem a czerwonym radykalizmem. Pozostał tylko snobizm. „Czas" krakowski wygnano z naturalnego środowiska na wyspy

Sołow... przepraszam, chciałem powiedzieć na grunt warszawski, na którym dogorywać musi i nic na to nie pomoże.

A że tak jest, o tem wie każdy, kto chce wiedzieć i kto głowy w piasek nie chowa. Ostatecznem zaś przypieczętowaniem tej ewolucji jest — już nie pierwszy z rzędu — pokłon żebraczy przed endecją i karygodna naiwność proponowania jej znowu jakiejś „fuzji“ z niedobitkami oportunizmu konserwatywnego.

Co za jakiś szał fuzyjny opanował od kilku lat konserwatystów, których ś. p. Marszałek Piłsudski chciał bądź co bądź do jakiegoś samodzielniejszego, aktywnego życia rozbudzić! Ale niestety — dajemy tu świadectwo prawdzie — że od pierwszej niemal chwili pomajowego „wskrzeszenia konserwatyzmu“ rozmnożyły się w nim, jak istna zaraza, bakterje fuzyjne, zaciemniając i paraliżując wszelką moc pozytywnego, samodzielnego działania — którego właśnie Marszałek od konserwatystów oczekiwał.

Gdyby w dzisiejszej konserwie mieli jeszcze głos prawdziwi „Stańczycy“, to wyśmialiby odrazu samą myśl kłaniania się kameleonowej konspiracji endeckiej, jako politycznie śmieszną i uwłaczającą godności polskiego konserwatysty, bo wszak nawet najwięksi przeciwnicy konserwatyzmu, bodaj nawet komuniści, uważali doniedawna, że konserwatysta, to w każdym razie człowiek o bardzo trzeźwem społeczno-politycznem rozeznaniu. Natomiast konserwatyzm eksperymetnalno - emocjonalny, żebraczy, to coś nowego. Le conservatisme mendiant! Tego jeszcze nie było. To zrodziła dopiero manja „fuzyjna“.

No, wiadomo, że fuzyjką dzieci się bawią. Bo strzał w stronę endecji nie był nawet strzałem karabinowym. To tylko dziecinna zabawa w żołnierkę — niezgrabne prezentowanie blaszanej „fuzyjki“ przed starszymi.

Na szczęście prawdziwa myśl, szkoła i tężyzna stańczykowska nie zginęła i ta nie da się nikomu otumanić, nikomu sobie zaimponować, kpi sobie z ataków lub zewnętrznych efektów, z suwerenną ironją spogląda na snobistyczno-oportunistyczne wysiłki, gardzi stanowczo wszelkiem żebractwem politycznem, a natomiast — w pełnem zrozumieniu sytuacji i przyszłości — wali teraz pięścią w stół i oświadcza bezdyskusyjnie:

Nikomu się nie kłaniamy i kłaniać nie będziemy, idziemy własną drogą, o cudzą krytykę nie dbamy, a komu się to podoba, ten niech biegnie za nami!